



Kochanęj Danusi

„ d. 16/5/1947

Woj. Tomo

ZBIÓR POWIEŚCI
J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzane, poprawione i nporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom szósty.

CHATA ZA WSIĄ

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzone i poprawione przez Autora.

TOM II.

LWÓW.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta,
przy placu św. Ducha l. 43.

1872.

WARSZAWA.

W księgarni Michała Glücksberga.



Nakładem Rogosza, Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

Jest w człowieku siła, na której rzadko kto się poznał, rzadko kto użyć jej umiał. Siła to czarodziejska, która dokazuje cudów: podbija pod swą władzę wszystko co ją otacza, pęta żywioły przeciwne, walczy zwycięsko z czasem, przestrzenią, zniszczeniem; której potęgą wznoszą się dzieła olbrzymie, stają się cuda niepojęte — tą siłą jest wola!

Słówko, ale co w tem słowie! Jakie skupienie władz wszystkich, jakie spotęgowanie człowieka! Rozbierz wolę, a znajdziesz w niej treść i istotę najwyższych przymiotów ludzkich; tą jedną sprężyną pociągnięte, wchodzą w ruch i działanie siły nieznane, uspięte, nadziemskie, których nic nad nią poruszyć nie zdoła. Ustaje woli działanie, a zmienia się cały człowiek: słabnie, osuwa się, upada, niknie!.. Wola nie jest wyłączną potęgą geniuszu, talentu, rozumu; każdy ją mieć może, kto ją w sobie wyrobił, i od najlichszego robaka ziemi, każdy nią cudów dokaże. Całe życie praktyczne stoi na woli; brak jej czyni niewolnikiem *), jak posiadanie jej władcą. Na tej osi obracają się koła losów nie-

*) Wyraz cudowny, malujący nie-wolę, to jest człowieka bez woli.

widzialną, kierowane dłonią, ale poruszane jedną siłą woli.

Nie wiem, czy więcej się dziwić potrzeba olbrzymim piramidom egipskim, celi pustelnika wykutej dłonią drżącą w twardej skale, czy chacie cygana zlepionej niczem z niczego?

Zmierzcie siły i ich skutki, a otrzymacie wypadek sprawiedliwy: bo wielkość dzieła rachuje się władzą jego twórcy. Drobnym, niewidzialnym otworem, który wyrzył robaczek w drzewie, dla mnie przynajmniej jest tak zadziwiającą budową, jak tunel pod Tamizą, żłobiony ręką i myślą ludzi tysiąca. Ciężar jaki mrówka dźwiga na swój *tumulus*, złożony prawie z mikroskopijnych okruchów, wzbudza większe podziwienie we mnie, niż obelisk luksorski przyciągnięty do Paryża. Tak samo i w sprawach ludzkich: bylebyś wpatrzył się w ten światek maluczki, na który mało kto oczy obraca, znajdziesz w nim i piramidy, i dzieła olbrzymie, i cnda stworzone jedną tylko wolą, może bardziej zdumiewające niż to, czemuśmy codziennie dziwić się przywykli.

Naprzeciw cmentarza w Stawisku wznosiła się już chatka, dzieło jednej silnej woli, zdumiewające ogromem, choć lichy z pozoru. Nikt nie pomagał dźwigać drzewa, nikt go prócz cygana nie ciosał i nie spajał, nikt nawet dobrem życzeniem nie wsparł samotniejszego robotnika; a jednak sklecił tę lepiankę, po każde polano drzewa chodząc z osobna do lasu, każdy dyl dźwigając na plecach pod górę, i za wyostrzenie siekiery pracując u kowala, bo mu inaczej jak czasem swoim zapłacić nie mógł.

W kilka tygodni po weselu i po opisanych wypadkach, chata Tumrego była prawie na dokończeniu.

Wielką w tem pomocą stała się dla niego żona, bo jej widok zagrzewał go, zachęcał, a pracowite dłonie nie jedno polano przywlekły pod cmentarzysko. We dwojgu praca już lżejszą stała się cyganowi; a gdy wieczorem uznajony upadł na lichej ławie odpocząć, miał ku komu zwrócić oczy, miał już przemówić do kogo.

Motrunie przywyklej do domowego gospodarstwa, które się dostatniem w porównaniu do nagich ścian ich chalupki nazwać mogło, ciężko było oswoić się z tym bytem, dla którego utrzymania wszystko niemal stworzyć było potrzeba z niczego. Tak mało, zdaje się znajdziesz w ubogiej chacie wieśniaka, a jednak ile tu niepostrzeżonego sprzętu, drobnostek, które powolnie nabywać, robić, dostawać musi. W chalupie Tumrego, prócz kupionych przez Motrunę na targu najpotrzebniejszych rzeczy, nie a nie nie było. Cygan obchodził się upieczonym kartoflem i zaczerpniętą w dłoń wodą. Poczawszy od wiadra, sprzętu pierwszej potrzeby, przy którym jeszcze czerpak być musi lipowy, ileżto brakło co chwila! Stół, ławy, niecki, cebry, dzieżkę dostać musieli, bo się bez nich obejść nie mogli we dwoje. Jednym też chlebem żyć było trudno, a ogród zasadzać za późno.

W początku myślała Motruna, że wieś i bracia, którzy się tak nieprzyjaźnie stawili dla nich, dadzą się przekonać i nakłonić do przebaczenia; ale zaraz pierwszych dni przekonała się, że albo wiele na to czasu byłoby potrzeba, lub nigdy może dokonać się to nieda. Wieśniak ma to do siebie, że wraz powziętem uczuciu i myśli trwa uparcie; nie ma on czasu na rozmyślanie. Na rozbiory tego, co uczuł i przedsięwziął; czyn zajmuje mu niemal życie całe, raz więc stanawszy na dro-

dze, zbić się z niej nie daje niczem. W sercu jego rozbudzone wzruszenie dzień jeden podaje drugiemu dniowi, a myśl, z którą usnął z wieczora, wstaje z nim nazajutrz rano.

Bracia Motruny stanęli właśnie na gościńcu, z którego ich nie sprowadzić nie mogło; owszem, dwór wdaniem się swoim przyparł ich jeszcze do niego, a cała wieś, oświadczając się za nimi i pośmiertną wolą starego Lepiuka, niepodobnem prawie czyniła dla nich cofnięcie się.

Jakkolwiek kowal był bardzo wiosce potrzebny, zarzekli się wszyscy, że Tumrego nie użyją, choćby o mil kilka z naradnikami chodzić mieli. Bracia Motruny zerwali z siostrą zupełnie, i zdała nawet nikt nie spojrział litościwie na tych wygnańców z pod cmentarza, których lepianka powoli się nakrywała i kończyła.

Przejeżdżając drogą, każdy z ciekawością poglądał na chałupę cygana, ale jak skoro znajomy zobaczył Motrunę w progu, popędzał konie, żeby ją minąć, odwracając twarz ku cmentarzowi, bez powitania i dobrego słowa. Najodważniejsi nawet z gromady, starym zwyczajem trzymali z gminą i słuchali jej wyroku.

Dni tak upływały, a żywa dusza nie przestąpiła proga, i nie słyszeli głosu uad swój własny; a gdy długa noc jesienna nadeszła z wichrem i burzą, tulili się do siebie z zabobonnym strachem, bo obojgu w tej pustce na myśl przychodził rozgniewany Lepiuk i sąsiednia jego mogiła.

Pracy tak było wiele, a znój tak nieustanny, a przyszłość tak straszna, że oboje nie mieli jeszcze czasu boleć nad duiem dzisiejszym. Toćto jedyna ulga wielkiej nędzy, że ona przed sobą daleko nie widzi. Szcze-

śliwi dręczą się jutrem, płacąc za pomyślność dzisiejszą niepokojem przyszłości; biedny, w opasany zewsząd dolą swą dodniową widnokręgu, na nią już tylko boleje. Tak i z nimi było.

Tumry zwłaszcza w znoju kończąc swą chatę i poczynając kuźnię, ani się oglądał na nadchodzące: głód i, zimę. Motruna czasem myślą wybiegła po kobiecemu naprzód, ale ją odciągnęła troska powszednia. W istocie przyszłość była groźna, a nawet dla najnędziej-szych zastraszająca. Dwór pusty z kapitanem Harasymowiczem na gospodarstwie, nie mógł być żadną pomocą; wieś odsunęła się od nich całkowicie, bo nawet Maksym Lach unikał ich teraz; do postawienia kuźni więcej jeszcze potrzebował cygan pomocy niż kiedy, a zkład było wziąć żelazo, młoty, kowadło i pierwszy narząd rzemieślniczy?

Jakkolwiek przywykł Tumry po cygańsku obchodzić się lada czem, wszakże i miech, i cegi, i młot, i kowadło były konieczne. Na horno potrzeba było cegły, i cygan sam zbudować go nie umiał! A bez kuźni jakąż znów dla nich przyszłość, i zkład wziąć chleba kawalek?

Podtrzymywała go nadzieja, że gdy warsztat swój postawi, gdy ludzie zobaczą tuż blisko to, czego dotąd daleko szukać musieli, powoli zaczną się udawać do niego z pilniejszą robotą choćby ukradkiem, a za przykładem śmielszych pociągną się i bojaźliwsi.

Wiele jeszcze jednak potrzeba było do tego.

To, co pozostało Motrunie ze sprzedaży krówki, wychodziło powoli na kupno najpierwszych potrzeb do życia: mąkę, krupy, omastę i nieustannie odkrywające się jeszcze nowe w domu niedostatki; ani pomyśleć

mogli o przysposobieniu kuźni i potrzebnych do niej narzędzi z tej odrobiny, którą jeszcze mieli, bo ta musiała być obróconą na pilniejsze wydatki.

Cygan jeszcze jednak nie tracił serca, nie postradał odwagi, a praca nie dawała mu czasu na próżne narzekania i rozpaczę. Choć chatka jako-tako zlepioną była powierzchownie, jeszcze w niej ściel musiał zakładać i lepić, ze szczątków szkła połapanych na śmieciiskach, jakie-takie porobić okienka, postawić ławy, stół, łóżeczko. Krztał się więc nieustannie latając do lasu, a w domu ciosając i przybijając od świtu do nocy. Ledwie im pozostawała chwilka na południową strawę, i spoczynek z rozmową wieczorną.

Motruna także miała co robić. Trzeba było chleb upiec, zgotować jedzenie, i na to wszystko nanosić wody, co najgorsza. Najbliższe źródło było w jarze nad drogą do wioski, o dobre staję od chaty, u brzegów stawu, a do niego trzeba było schodzić gliniastym obrywem biegnącą ścieżynką, którą lada deszczyk prawie nieprzebytą czynił dla ślizgoty: cóż dopiero, gdy nią z ciężkimi wiadrami na plecach powracać musiała, drapiąc się pod górę Motruna! Po wodę zaś najmniej dwa razy w dzień zejść było potrzeba. Szczęściem jeszcze, że mało kto chodził do tej studzienki, i biedna Motruna nie spotkała tam kobiet, których mileczenie lub nieczeka byłyby ją boleśnie dotknęły.

W kilka tygodni po przeniesieniu się do ubogiej lepianki, nie o tem nie mówiąc mężowi, zajętemu jeszcze kończeniem lichej budowy swojej, Motruna postanowiła spróbować szczęścia i zakolatać do serca rodziny i braci. Nie widziała ich od chwili, w której przeciwko ich woli opuściła chatę ojcowską, i widocznie unikali nawet

przejeżdżania drogą przez cmentarz wiodącą, kołując dalej na pańszczyznę i w pole.

— Niejużciż ja im już obca? — mówiła sama w sobie — wszakże chowaliśmy się pod jednym dachem, jedną pierś ssali; czyby tak odepchnąć mnie mieli na zawsze? Swój polaje, pogniewa się, ale pozwala. Jak im powiem będę naszą, takie serce się im otworzyć musi, i pomoga, i przebaczą!

Takiemi zagrzewając się myślami i dodając sobie otuchy, której w istocie jej brakło, Motruna ku wieczorowi dnia jednego, gdy Tumry zabawiał się w lesie, wzięwszy wiadro na plecy na przypadek, aby się miała czem przed nim wymówić, zeszła niby ku studni. Tu w krzakach schowała naczynie i nosidła, a sama choć tęskno i bojaźliwie, pociągnęła w drogę ku dawnej chacie ojcowskiej.

O! biłoż jej biło biedne serce, gdy ten dach słomiany ujrzała, dziś całkiem obcy, a dawniej tak dobrze, tak serdecznie znajomy! Każda tu na dachu mchów plama, każdy snopek świeży i żółty, każda kluczyna usunięta na stodołce, tak przypominały dnie, w których patrzyła na nie spokojna i szczęśliwa może! Toż samo stado wróbli świegotało na płocie i w bzach ogródka, i dym z komina tak się zwijał jak dawniej, i wrotka tak były na bok leżące otwarte: — wszystko jak było, wszystko, a jednak ten dom tak do serca przyrosły, już nie jej, już obcy, już cudzy!

Strach ogarniał zbliżając się do niego Motrunę, a łzy kręciły się w oczach, bo całe dzieciństwo i młodość wybiegły przeciwko niej za wrotka, powitać wracającą wygnankę, i niosły w reku pęki niezabudek... Ale prócz tych mar, nikt więcej nie wyszedł.

Wahała się czy przejść próg chaty, czy się ośmielić zajrzeć tam, i przemówić do dawniej swoich, dziś cudzych ludzi? A nuż nie zastanie braci, tylko ich żony, które zawsze krzywym okiem patrzyły na nią, choć z serca starała się im pomagać, i zastępowała je w pracy około chaty i na dworskiem. Sparła się na płocie biedaczka i zapłakała gorzko, tuląc oczy fartuchem, i stała tak długo zadumana, nie wiedząc co począć, gdy uczuła się trąconą w ramię.

Serce jej zabiło, otworzyła oczy, a nuż to brat, a nuż to siostra? Nie... był to stary kot czarny, który ją poznał z daleka, wskoczył na płot i lasił się Motrunie.

— A! pocziwy burek! — zawołala — choć on nie zapomniał Motruny; dziękuję ci, dziękuję!

Kot nie sam przecie przypomniwał sobie rękę, która go dawniej karmiła: wkrótce otoczyły ją kury nadbiegające z podwórka, zwiedzione, sądząc, że im ziarna posypie, i para szarych gołębi zaczęła się kręcić nad głową.

To powitanie istot, co tak mało mają zwykłe pamięci, poruszyło biedną wygnaukę, sierotę, i do łez ją rozczuliło. Witaa się ze wszystkimi, głośno wywołując nadane im nazwiska; a gromadka krzykliwa kręciła się dokoła, coraz głośniejszebiocąc. Nie omyliło to jednak Motruny wstąpić do chaty, która stała zawarta, i nikogo z niej dotąd widać jeszcze nie było.

Dzień był przecie sobotni, i pewnie żadnej we dworze ani w polu roboty: bo całe dwa dni lał deszcz, a od południa dopiero przesyhać zaczynało. Już miała odejść przejęta strachem, gdy znajomy skrzyp drzwi od izby dał się słyszeć i wyszedł z nich starszy brat, wi-

docznie tylko co przebudzony, przeciągając się jeszcze. Na gwar ptastwa sądząc, że może jastrząb zwija się w okolicy, przyłożył rękę do czoła i spojrzał; a z za wrót postrzegł głowę Motruny i stanął, widocznie zafrasowany. Jedną już ręką chwycił za skobel od drzwi, jakby chciał nazad powracać, a drugą rzucił zniechęcony. Walczył z sobą: to uciekać myśląc, to odprawić siostrę kilka słowy: ale brew jego namarszczona nic dobrego nie zwiastowała.

Motruna wyciągnęła ku niemu rękę:

— Bracie! bracie!

— Nie ma tu tobie ani braci, ani siostry, ani rodni — odparł surowo jak sędzia gospodarz — tyś już nie tnęjsza! Precz cyganicho od drzwi i progu naszego, precz! Po co ty tu? Może wypatrujesz dla męża, któredyby konie nasze wyprowadził?

— Maksymie! na miłość Bożą, godziź się tak siostrę przyjąć! Odpędź, nie przyjm, ale nie łaj tak boleśnie! Co wam zrobił mój mąż? com ja wam winna?!

— A ojcaście zapomnieli? — zakrzyczał Maksym groźno... — Kto go zabił jeśli nie wy dwoje, i kto potem szukał we dworze pomocy i opieki przeciw nam? No! niechże i teraz dwór was ratuje i dwór wam pomaga! My tobie nie bracia!

— Maksymie! choć dobrem słowem pożegnaj! My z głodu poumieramy: ty nie znasz naszej nędzy! Z waszej namowy cała wieś na nas, chleb nam z gęby wyrwaliście. Nie chcecie mnie za siostrę, ja wam się nie narzucam, ale przestańcie prześladować!

— Nie, nie! — krzyknął Maksym — będziemy was męczyć, aż sobie precz ztąd w świat za cyganami, braćmi, waszymi, pójdziecie. Obchodzila się wioska tyle lat bez

kowała, obejdzie się i dalej, a my was nie chcemy mieć na oczach.

Motrunie ta nielitosna mowa odezwała się aż w sercu, i ścisnęła je guiewem prawie.

— Prześladowajecie nas cyganami — zawołała podnosząc się — a i wyście synowie Romów! Prześladowajecie nas, a lepsiście sami, co odpychacie krew waszą na zgubę i głód, byle wam z oczu uszła!

— Precz mi jędo! bo cie psami wyszczuję! — krzyknął Maksym, wypadając z chaty na próg.

— Psy lepsze od ciebie — rzekła Motruna — bo mnie wszystkie znają za panią, kiedy ty wyparłeś się siostry.

— Boś ty się wyparła ojca i jego woli — przerwał Maksym.

Motruna spuściła oczy, obeschle z łez i gorejące, wstrzęsła się i wzgardliwe rzucając wejrzenie na brata, odstąpiła na kilka kroków od chaty. Kot, kury, gołębie, nadbiegły, w tej chwili stary Kasztan, pies podwórzowy, który się wśród wrzawy obudził, zlaźł z przyżby: wszystko poszło za dawną karmicielką.

Maksym znikł już za drzwiami.

Barek zeskoczył zrazu z tynu, i ocierając się o Motrunę, kilka kroków włókł się za nią powoli; ale widząc, że minęła wrota i kierowała się ku drodze, przystał, usiadł, łapki do siebie podłożył, i w początku poglądał za nią, a nareszcie, że słońko mu przygrzewało, zdrzemał się wśród podwórka.

Kury napróżno pozierając na fartuch Motruny i szczebiocąc, poskakały za nią kilka kroków, dziobiąc ją po nogach i chwytając za spódnicę; ale i te zobaczywszy że schodziła ze zwykłych granic ich państwa, zaczęły

się grzebać w śmieciisku i porzuciły ją samą.

Para gołębi leciała nad jej głową przysiadując na gruszach, na studniach, na dachach; zdawała się ją wyzywać uazad i gruchała ku swej pani; ale niedaleko jej towarzyszyła, samica pociągnęła ku guiazdu pierwsza, a samiec wrócił się za nią.

Kasztan stary wytrwał podobno najdłużej: wyprowadził ją za podwórko, za wrotka aż na drogę, i lizał po rękę i mruczał, zapraszając niby aby się nie oddalała od chaty. Ale Kasztan tak już był stary! Boki miał wypelzłe, ogon niemal nagi, nogi sztywne i suche. trudno mu chodzić było, zwykle najdalszą jego podróżą były wycieczki za wrota, a na drogę nawet nie puszczał się nigdy. Miał na przyźbie wyleżały barłóg słomiany, do którego był tak przywykły. Jakże mu było wyrzwać się nie wiedzieć jak daleko z Motruną? Szedł, szedł, i przyzastanowił się kiwając ogonem; zrobił krok jeszcze, szczechnął nawołując, i spojrzał na chatę i na Motrunę, jakby rozmyślał co robić z sobą. Nareszcie, gdy nie odwracając głowy biedna sierota szła dalej, Kasztan podtuliwszy ogon, spuściwszy głowę, zawrócił się po cichu do swojej przyźby, powoli podreptał ku niej, i mruzcząc spać się położył znowu.

Uciekając ze wsi ze łzami w oczach, żona Tumrege przechodzić musiała koło stodołki ojcowskiej, w której cep słyhać było. Wrota jej na pół otwarte, dozwoliły spojrzeć wewnątrz, i najrzała młodszego brata w koszuli jednej, zwijającego się koło kilku leżących na toku snopów żyta.

— A może też on litościwszy będzie! — zawołała w duchu i wsunęła się cicho we drzwi, a cień jej obudził zamyślonego pracownika.

Podniósł głowę, spojrział i zdumiał się widząc siostrę.

— A ty tu czego? — zawołał więcej niespokojny jak gniewny — ty tu czego Motruno?

— Do was Filipie! do was! Byłam u Maksyma po dobre słowo tylko, po przebaczenie; Maksym mnie jak włóczęgę i obcą przepędził... czy i ty tak zrobisz jak on?

— Maksym cię przepędził? — rzekł, spierając się na cepisku Filip — a cóż ja ci pomogę? co ja ci poradzę?

— Choć pożałujcie! choć przemówcie! — zawołała biedna kobieta. Cała wioska z waszej przyczyny od nas jak od zarażonych ucieka: nikt słowa dobrego nie powie, twarz nawet, spotkawszy się, odwracają! Czyż taki litości nad biednymi nami mieć nie będziecie?

— E! to darmo — rzekł żywo zmiészany brat młodszy — to darmo: kiedy Maksym cię przepędził, to cóż ja poradzę? Z całą gromadą zwinęli się na was, żeby nie przyjmować i wypędzić: to darmo! Ty wiesz, że ja sam w chacie z Maksymem ledwie wytrzymać mogę, a tobym się miał i z nim i z gromadą zadzierać! Tobym mnie ani łonie pokoju nie dali i z chaty bym uciekać musiał. Idź sobie, idź! bo jak cię tu zobaczą, to i mnie prześladować będą!

Motruna płakała stojąc oparta o wrota.

— O mój Boże! mój Boże! do kogo się tu już udać, kto pomoże, kiedy bracia własni opuszczają i wypędzają!

— A było ojca słuchać — rzekł cicho Filip — tobyś teraz nie biedowała Motruno; i dla cygana świata sobie nie zawiązywać i wstydu nam nie robić!

Motruna milczała.

— Co się stało, tego nie powrócić — odezwiała się po chwili — ale nie daj Boże dzieciom waszym takiej

doli, bo my z głodu pomrzemy, jak zima przyjdzie...

— A dwór? — spytał brat.

— Nie ma dla nas nikogo we dworze!

— Dali wam, słyszę, krowę?

— Już ją dojadamy, bośmy sprzedać musieli.

Brat Filip zamyślił się chmurno.

— Idźno! idź! już ja tobie tu nie poradzę — rzekł cicho. — Ot nabierz w fartuch żyta co dzwigniesz, a nie mów nikomu żem ci dał: słyszysz! Przed Maksymem powiem, że kopa była z brzegu, więc ją gęsi wytlukły i wróble nadpily... Bierz, bierz, nie sromaj się; dla miarki nie przepadniemy. A idź, bo jak cię Maksym zobaczy...

Nie tak ta drobna ofiara kilku garncy żyta, jak pocziwe serce brata, do którego się odwołać mogła, bo dla niej nie było jeszcze stracone, uradowało Motrunę, i ze łzą w oku poczęła go całować w ręce wołając:

— A! mój brateńku drogi! Niech ci Bóg płaci za pocziwość twoją dla mnie! Dawno już nie słyszałam słowa, nie poradowałam się tak jak dzisiaj!

Filip zdawał się także wzruszony, ale wejrzenia jego rzucane za wrota, malowały obawę; począł sam zgarniać żyto, i prawie gwałtem wysypywać je w fartuch Motrunie.

— A dlatego — mruknął z cicha — idź ty sobie, idź! Póki Maksym cię tu nie zdybie, to ja ci czasem choć kradzionem pomódz będę mógł; ale uchowaj Boże, by zobaczył: i mnieby zjadł, i tobieby przepadło, co ja tam czasem dać mogę. Taki idź Motruno.

Łzy kręciły mu się w oczach, poprawiał końcem cepiska słomę, zgarniał ją, odwracał się, i wypra-

wiał biedną.

— Maksym — dodał w końcu — głowa domu: on wie co robi, i ojciec wiedział co robił! Nie trzeba było za cyganem latać, bylibyśmy żyli razem, a teraz wszystko przepadło!

— Jakto! — płacząc zawołała Motruna — czyż u was takie serce z kamienia, że mi nigdy nie przebaczycie?

Filip potrząsł głową.

— A jak my mamy odmienić, co ojciec postanowił? On umarł z wolą swoją i nie ma go, żeby ci przebaczył. To nie my, to on rozkazuje; na to sposobu nie ma!

— Nigdy! nigdy! — chwytając się za głowę zawołała kobieta.

— Musi być że nigdy — odparł Filip, i popychając ją zlekka, dodał żywo: — taki-bo idź Motruno, bo bieda będzie, a i mnie czas zgarnąć żyto, bo wieczór nadchodzi.

Milcząca rzuciwszy okiem na litościwszego młodszego brata, który jakby się swego serca wstydził, mruczając coś, koło zboża robił i oczy chował; Motruna wyszła bogatsza o kilka garncy żyta, którego jej brat w fartuch nasypał, ale smutniejsza, ostatnią straciwszy nadzieję.

Od stodołki drogą po za płotami przebrała się do grobelki, przeszła staw, i zbliżyła się do studni, aby tam zabrać zostawione wiadra.

Nie było nikogo u źródła, a gdy przyszła odszukać wiader i nosidła, Motruna klasnęła w ręce z rozpacz, spostrzegłszy, że jej najpotrzebniejszy sprzęt skradziono.

Tumry długo bawił w lesie, bo musiał odszukać drzewa na przysochy do kuźni i przysposobić kluczyiny,

o które było trudniej w wyniszczonej borze, niż o inny materiał. Późno już więc mrokiem wrócił do chaty, i gdy się zastanowił przed progiem lepianki, chcąc ciężar swój rzucić z ramion namulanych, postrzegł Motrunę, która fartuchem oczy zasłoniwszy, siedziała płacząc przed drzwiami.

Twarz cygana zapalała ogniem; pomyślał, że mógł kto krzywdę wyrządzić żonie w niebytności jego, i wszystkim ciężar swój rzucił o ziemię spiesząc do niej.

Kobieta wstrząsła się na stukot padającego drzewa, porwała się na nogi i stanęła przelekła.

— Co ci to? na *Mroden-oro*, co ci to Motruno? A! *gudziowie* przekłęci — rzekł, przypominając sobie w gniewie język cygański — już ci coś zrobili!

I pięść ściśniętą podniósł do góry.

— Klnę się — dodał — że już dłużej nie wytrzymam; sam zgine, ale wieś pójdzie z dymem w popiół, za łzy i krew naszą! Niech poginą jak *szukela* (pies), kiedy jak *szukela* nie mają serca!

To mówiąc cygan, którego oczy gorzały, tak był straszny wściekłym gniewem, że się Motruna aż cofnęła, żegnając mimowoli.

— A Tumry mój! — zawołała — czegoż się gniewasz i grozisz? Nic się nie stało naprawdę, nic mój kochany.

— Dla czegoż płakałaś? *Row* (płacz) nie przychodzi bez przyczyny!

— Nad swoim głupstwem płakałam — odpowiedziała Motruna, chcąc wszystko utaić przed mężem. — Ot! przepadły mi wiadra z mojej winy, nie z niczyjej.

— Wiadra? jakim sposobem?

— Poszłam po wodę, ale przez lenistwo nie chciało mi się czerpać z krynicy, więc zlałam aż do stawu;

a że tam woda płynie żywo, a mnie nogi drżały, potopiłam wiadra... Zabrała je rzeka... młyn porozbijał.

Cygan spojrział jej w oczy i głowę pokiwał.

— Gdzie? co? — rzekł powoli — w stawie moczą konopie, a tybyś tam wodę brała! Nadto z ciebie dobra gospodyni! Gdyby i poszły wiadra z wodą, toćby nie daleko popłynęły, bo trzciny rosną od brzegu, a tobie nie nowina po kolana się zamoczyć! Ej! to coś innego, Motruno; ty mnie nie oszknasz: inaczej te wiadra zginęły!!!

Motruna nie bardzo klamać umiała: zarumieniała się cała, przemówiła coś niewyraźnie, ruszyła ramionami, udając trochę zagniewaną.

— Coto gadać! — dodał Tumry — mów prawdę kobieto, bo się ona nie skryje! —

— Ależ ci mówię jak było — wchodząc do chałupy, zmieszana odpowiedziała Motruna.

Cygan w ślad szedł za nią, i w tej chwili, choć zmrok padał, postrzegł na środku izby leżący fartuch pełen żyta, który Motruna, nie myśląc co robi rzuciła powróciwszy.

— A to co? — spytał wskazując ręką.

— To żyta miarka, którą kupiłam za złoty u przejeżdżającego z Rudni człowieka.

— Za złoty! — kiwając głową odpowiedział cygan już nie dając wiary. — Nie wierzę Motruno, mów prawdę, mów prawdę, to się nie godzi! Tyś płakała, ja chce i będę wiedział wszystko, choćby mi przyszło nie wiem gdzie pójść po to.

Motruna milczała jeszcze, zbierając końce rozrzuconego fartucha.

— Ale boś mnie zastraszył swoim ogniem i gniewem,

Tumry — rzekła powolnie — mamy już i tak dosyć gniewu ludzkiego, dość złości ludzkiej; nie sprowadzajmy ich więcej na głowę naszą!

— A gdybym ci dał słowo, że bez woli twojej nie pocznę?

Motruna odwróciła się zapłakana.

— Daj ci Boże zdrowie! Ot! Iżej mi będzie, gdy ci powiem wszystko, i powiem, ale się mścić nie bedziesz?

— Na *Mroden-oro* nie będę, póki mi stanie cierpliwości, Motruno; bom wiele już przebaczył, i zmęczyła mnie nienawiść ludzka. Ale mów, a prędko, bo się trzese.

Motruna wtedy rozpoczęła całe opowiadanie swoje, przerywając je łzami, i omijając, co jej Maksym, wygnawszy z podwórka, powiedział; a cygan słuchał w tak posępnem milczeniu, tak upornie ścisnąwszy usta, że pary nie puścił, aż skończyła.

— Psy! — zawołał podnosząc się — psy bez serca! Nie chce ich jałmużny! nie potrzebuję! Z głodu zdechnę, ty i ja, a ziarna tego przekłętogo zboża nie rusze!...

— A Filip-że co winien? — nieśmiało wrzuciła Motruna.

— Filip baba, *Egaszi*! — krzyknął cygan — boi się mnie, boi się brata, boi się dworu i daje jałmużnę żeby się pozbyć! Rzucę mu jutro w oczy!...

— A! na miłość Boga — podbiegając przerwała żona — i jego, i mnie i siebie zgubisz! Maksym gdy się dowie, pokoju mu nieda i zagryzie; a za dobre serce odpłacim mu biedą! Ja na to nie pozwolę!

— A nie skamienieje ci ten chleb w ustach kobieto?
— zapytał cygan — chleb jałmużny jak psu rzucony

siostrze przez *Pechrul'a*! A będziesz ty go mogła jeść! a da ci on życie? Nie! o nie!

— Wyrzuć go jeżeli chcesz, ale nie oddawaj bratu — błagając, krzyknęła Motruna — i nie gub go i nie gub mnie!

Jeszcze Tumry odpowiedzieć nie miał czasu, gdy do drzwi niedomkniętych ktoś powoli zaskrobał.

Szelest ten nieprzywykłym do niego uszom wygnańców tak się stał dziwnym, że oboje przejęci strachem, stanęli jak wryci; a cygan przeczuwając nieprzyjaciela, bo się już wszystkiego obawiał, poskoczył ku progowi.

Motrunie przyszły na myśl duchy cmentarne, upiór ojca mściwy, i drżąc przeżegnała się.

— Kto tam? — silnym głosem, odmykając drzwi, zawołał cygan, usiłując okiem przebić ciemności, — kto tam!

— A, a, dobry wieczór? dobry wieczór? Cyt! cyt! nie bójcie się; a toż goły rozboju się nie boi, a u was pewno się nie ma na co połakomić?

Słowa te zająkliwie wymówione, i przerywane cichym śmieszkami, wyszły z ciemności powoli; a przed zdziwionym cyganem pokazała się dziwaczna postać głupiego Janka, który na ramionach dźwigał dwa wiadra pełne wody. A że był mały bardzo, ledwie z niemi przez próg mógł przeleźć, bo się niemal po ziemi wlokły.

— Wiadra moje!! — krzyknęła Motruna plaskając w ręce z radości — doprawdy to wiadra moje... to głupi Janek!

— Otóż nie taki głupi jak myślicie — odpowiedział gość — kiedy znalazł to, co mądry zgubił! A! a!

— Bóg ci zapłać — rzekł cygan — ot już drugi raz winienem ci przysługę!

— Coś ty tam mnie winien! — skrobiąc się w głowę, wybełkotał karzeł.

— Ale gdzieżeś je znalazł — spytała Motruna. — Jakis ty pocziwy, patrzcie nawet mi je z wodą oddał.

— A jużciż kiedy wiadra to z wodą! Pocoby ci się o tej porze zdały bez niej — odparł Janek. — A gdzieś ja je znalazł! o! o! to długoby o tem gadać.

— Powiedzże choć gdzie, i jakieś je odebrał?

— Ja ich nie odbierałem — rzekł Janek.

— A jakże ci się dostały?

— A! a! jak to wam gadać łatwo, to się zdaje, że i mój język tak chodzi jak wasze; poczekajcie no, poczekajcie!

Tumry i Motruna stanęli przed Jankiem, który siadł w progu.

— Ot jak było — zabrał się opowiadać powoli. — Idę ja sobie, idę, ot tak! wypędzili mnie z chaty, bo mieli jeść wieczerze, zamknęli drzwi: poszedłem.. Idę, idę gdzie oczy poniosą przez grobelkę, przez mostek, i jakoś się zaszło do studni. Tu, myślę sobie, siadę, i choć wody się napiję, kiedy jeść nie ma co... Ale jak tu się wody napić, kiedy woda głęboko, a zaczerpnąć nie ma czem. Myślę, myślę, a mnsi to być jakiś sposób, i niechno ja tylko położe się, a pocznę go szukać, to znajdę! Odstąpiwszy tedy od studni kilka kroków, buch w krzaki! Buch, i zbiłem sobie boki o coś! A żeby cię wciornaski! Obejrzę się, parę wiader, a jeszcze nowe, i nosidło! Ot i sposób. Ale kto to tu porzucił je? Oglądam się, żywej duszy....

Nadchodzi Naścia Laszkowa: dobry wieczór, Naścio! — Ta mi głową nie kiwnie — możeby ci wody wyciągnąć? — Idź do diabła. — Tylem skorzystał. —

Moja Naściu, spytałem. nie wiecie czyje to wiadra? — Wiadra! oj! — poskoczyła jakby jej dał kulakiem w bok, i nuż wołać: — a to moje, a ja ich szukałam! — Twoje! rozśmiałem się, taka to prawda jak mysz kaszle! Zapewne...

— No, moje nie moje — odpowiedziała — ale ja je biore sobie. — A to za co? — A już ci ty mi oddasz. — Nu ja na nią głową kiwać: — A żeby ci kto wziął? — Zacerwieniła się. — Powiedz lepiej, spytam, bo ty znasz całą wieś: czyje to one są?

Popatrzała dobrze, pokiwała głową: — Nowe, rzekła, nie znam... taki nie znam... Z tej strony wsi co jest wiader, tobym poznała, ale to nie nasze!...

— Ot i to poznam — dodała — że kupione na jarmarku w miasteczku, bo to robota nie tutejsza, tylko bednarza. co wozi na targ, het! od Piątkówki aż...

— Mnie już więcej nie było potrzeba — dodał głupi Janek — zastukałem sobie w główkę i zaraz mi odpowiedziało, że to wasze być muszą. Ale jak zaczęła Naściu gadać i to i owo, a ja z nią śmiać się, a tu nadeszła i Hrycycha, i we troje bajdurzyli, tak i do nocy przebalakaliśmy. Dopiero ja, żeby nikt nie widział, pociemku wody nabrawszy, przyciągnąłem je tutaj.

— Niech ci Bóg płaci. Janku! Ot i poczęstować cię nie mam czem — rzekła smutnie Motruna — u nas ubogo...

— Co tam dziękować i na co częstować! — rzekł mały potwór — mnie się jeść nie chce, bo wodę piliem! a taki w domu gdy przyjdę, choć łają i wypychają, coś mi w garnku zostawia. Ale u was tu goło, Motruno!

— A z kądem co wziąć? — rzekł cygan. — I to, co widzisz. dwoje rąk robiło, jedne plecy dźwigały.. a te-

raz co raz to ciężej, co raz to gorzej, serce się drze... Nie wiedzieć już jak radzić!

— Czy to ja tego nie wiem? — odpowiedział Janek po cichu. — Kto jak kto, a ja na to patrzę ciągle i dziwuję się, aż mię kark boli od kiwania głową... Taki darmo, żebyś ty miał jeszcze głów trzy i całą górę ochoty, nie dasz na to rady!...

— Muszę — rzekł Tumry.

— Muszę! cha! cha! choćby zgubić duszę! — wykrztusił mały. — Tu i muszę nie poradzi! Zlepiłeś chatkę, a z czego to zrobisz kuźnię?

— Koło cegielni jest dużo kawałków: będę powoli wybierał i nosił.

— No! no! a dalej: a kto horno zlepi? — spytał Janek.

— Mularz z Rudni...

— Darmo?

— Nie! ja będę tydzień robił u kowala, kowal za to mularzowi zapłaci, i horno stanie.

— A dalej co? Myślicie, że ja kuźni nie widział! Byłem ja i w Rudni, i w Piątkówce, i w Czumarze na jarmarku, napatrzyłem się kuźni i cygańskich, i chrześcijańskich, i żydowskich!

— Będę rok pracował u majstra duiem i nocą — odpowiedział Tumry — to taki zapracuję na łatany miech, kowadło, obcęgi i na kawał żelaza do młota.

— A żona tymczasem?...

— Pójdzie sobie pracować! — rzekła Motruna żywo.

— A potem co? — spytał Janek — pójdziecie we dwoje w świat! Noc, to lepiej teraz!

— E! jak ludzie zobaczą kuźnię i węgla kupę, jak jeden, drugi podróżny pochwali się okuciem konia

w karczmie, a przyjdzie transport w gołoledź albo z rąkami w pole...

Janek głową pokiwał.

— Ta! ta! ta! to wy naszych nie-znacie Stawiszczan — rzekł. — Ho! ho! u nich jak u Żydów, kiedy *cherim* to *cherim*! Może toby i było za dziesięć lat, za dwadzieścia, ale wy tymczasem z głodu pomrzecie!

Motruna westchnęła, Tumry zamilkł posepnie.

— To darmo — rzekł Janek — już gromada się schodziła i ręce dawali i wódką zapijali i zmówili się, a ja ich znam. Jakby kto tylko do kuźni zaszedł, toby go z wioski na Podole wypędzili: takby go prześladowali. Żeby jeno wiedzieli, że ja tu byłem i z wami gadałem, toby mi drzwi chaty nie otworzyli. O tem i nie myśleć.

— Tak ci się zdaje, Janku — rzekł Tumry.

— Niech i zdaje — odparł mały. — Jak moje nie w ład, ja z swoim nazad. To nie słuchajcie głupiego Janka, bo na to on głupi. Ale taki wam powiem, że jak ja co zacząłem gadać, a do głowy mi się uczepli, to czy dziś czy jutro, to się zrobić musi. Już jak tu starego Lepiuka na cmentarz przywieźli, a posłyszałem, że braci do dworu wołali, zarazem sobie powiedział: będzie kuźnia, ale chleba nie będzie!

Motruna westchnęła, Janek wciąż prawił dalej;

— Ot i ze mną — rzekł — ze mną tak jak z wami się stało. Albo to ja gorszy od Iwasia, od małego Czuryły, od Andrzejuka kulawego? a jak inni okrzyknęli za głupiego, wszystko przepadło. Już mnie w chacie dla nich nie ma: ani ja do dzieła, ani do gospodarstwa, ani do swadźby; co i myśleć o tem! Jak potrzeba robić a ciężko, a do potu, a nad siłę, to mnie wy-

pchną; a jak kozucha, strawy, lawy, czy dobrego słowa, u nikogo nie wyproszę. I tak to już poszło na całe życie!

— No to pójdziemy ztąd, zawołał Tumry — do drugiej, trzeciej, do dziesiątej wioski, a pracując, znajdziemy kawałek chleba: nie tu, to tam! Ale nie porzucę im lepianki, która mnie tyle pracy kosztowała, póki mnie głód i nędza z niej nie wygnają!

— Róbcie jak chcecie — wstając rzekł Janek — a mnie czas do domu. Dostanę i tak szturchańca, żem się zapóźnił, a byle drzwi były zaparte, to mi ich już nie otworzą, i w chlewku lub w plewniku wyspać się będzie trzeba. Ale mnie to wszystko jedno: skóra już twarda! cha! cha! cha!

To mówiąc Janek wysunął się z chaty i znikł w ciemnościach, po cichu zbiegając do wioski. Tumry i Motruna zostali sam na sam znowu, milczący i zamysłeni.

Zabłysło trochę światła w kominie, rozweseliła się chatka, i na krzywym stole ukazała się misa wieczorna.

— Na pohybel im! — zawołał siadając do niej Tumry — nie damy się, nie damy, choćby przyszło całe życie czekać, jak ten powiedział: aż źli wymrą i pójda na cmentarz, a dobrych Bóg narodzi!!... Nie płacz Motruno! nie płacz! bo za te łzy zapłacić będą musieli bracia!

W takichto drobnych przeciwnościach i ciągłej pracy, upływały pierwsze miesiące młodego małżeństwa, za chwilę spoczynku i marzeń, potrzeba było płacić drogo znojem i gniewem, który nie miał się wylać na kogo,

bo z przed nich uchodziła wioska, omijając cygańską chatę, cygańska żona i cygana z daleka.

Ale czy byli szczęśliwi oboje?

O! inna to marzyć o szczęściu, a inna mieć je w dłoni; ono jak motyl mieni się rychło w poczwarkę, której opadają skrzydła. W swych schadzkach wieczornych, w pierwszych chwilach po poznaniu, nie domyślali się oboje, ilą łzami przyjdzie okupić zbliżenie się do siebie i wspólne życie. Motrnia choć kochała Tumrego, zamyslała się często o swobodniejszej doli dni młodych; lzy jej wyciskał ten rozbrat ze wszystkimi, to jej wygnanie ze środka rodziny, która się rozstała przed nimi. Często wśród nocy wzdychała, a sen nie przychodził, i żalowała przeszłości: a gdy na pamięć przyszło przekleństwo ojca, dreszcz przelatywał po niej. To znowu myślała o jutrze, o zimie, o długich może latach, które w tej pustce spędzić będzie potrzeba, męcząc się i patrząc na cudze męczarnie, — chwytala się za głowę przerażona i wylekła.

Ale wracać się nie czas już było!

Przed sobą miała jeszcze może wygnanie, opuszczenie tej wioski, na którą choć z dala patrzeć lubiła — i los dzieci, i nędzę, i żebractwo, i włóczęgę!

Tumry dopóki od rana do nocy pracował, póki choć trochę miał nadziei, nie myślał o niczem, tylko o najpilniejszej robocie, dodając sobie sam sił, których nikt udzielić mu nie mógł: ale gdy praca się zastanowiła dla deszczów jesiennych, i zostawiała mu tylko kuźnia, której sam postawić nie mógł; gdy całemi godzinami i dniami siedzieć było potrzeba bezczynnie, i dumać, dumać i dumać: i jemu ciężko się zrobiło na sercu. Przyszła tęsknota za życiem swobodnem, wędrownem, peł-

nem co raz odmiennych widoków, w którem wczoraj nigdy nie było do jutra podobne: i przypomniła się Aza wesola, dziwaczna, ale zapalająca jak iskra ogniska kuźni Aprasza, i wszyscy ci, których dla jednej opuścił kobiety: biedna milcząca żona wodza, jej małe szczeniaki, stare wróżki, co się za obozem wlokły, kuźnia pod namiotem w polu, skrzypiący wóz, który ją z miejsca na iniejsce przewoził, całe, całe życie cygańskie, pełne nędzy, ale też pełne ruchu i żywota.

Po niem dziś nagle Tumry siadł grzybem przy swojej lepiance, skazany na przykutą dolę, na jeden mały, smutny widok cmentarza z okienka, na jedną rozmowę, na niewidzialnych wrogów i pustkę!

Z Motruną przebrało się uczucia i rozmowy; rychło kielich wypili do dna, a nie nowego żywiołu nie przyniosło ich losowi. Tumry chciałby był choć walczyć jak dawniej, jak wówczas cierpieć, byle czemś wyjść z odretwienia, które jak na mrozie mających skołowacieć, snem martwym opanowywało. I co dzień myśl upornej zawracała się do lat młodych, znienawidzonych, które wczoraj przeklinał, a które na teraz wydawały się z daleka prawie uroczyste ze swemi łzami i boleścią.

Z początku błkanie się po lesie rozrywało go i ulgę mu robiło, ale i las jednostajny spowszedniał: czuł co raz żywiej wyradzające się uczucie jakiejś potrzeby ruchu, wędrówki, włóczęgi, innego nieba i ludzi. Był to nałóg stary, budzący się po przygaśnięciu pierwszej gwałtowności uczucia, które wprzód go stłumiło. Niepokój jakiś go trapił, wychodził na próg, włókł się drogą, powracał, i znów go coś z chaty ciągnęło.

A gdy się przemógł i wytrwał w miejscu dzień cały, to wpadał w skamieniałość, ledwie iskrę życia mającą

w sobie. Motruna widziała to i milczała; starała się go pocieszyć, bo nie pojmowała tego inaczej, jak udręczeniem, przyszłością i niepokojem o jutro, ale jej samej dzień za dniem tak było ciężko!

Myśli ich prędko się rozbiegły: ta ku wiosce, co dymiła w dolinie; druga w siny świat nieznany, szeroki, nieprzejrzany, a pociągający ku sobie. I tęskno im było we dwoje, choć się kochali jeszcze; ale potajemnie obojgu płakać się już chciało rzuconej za sobą przeszłości!

Motruna siedziała na pagórku, i w dłoniach sparłszy głowę, z za łez patrzyła na spokojne Stawisko: i myśl jej lecąc na skrzydłach tęsknoty, biegła aż na podwórko ojcowskie, na strzechy chaty starej, do znajomej studni, do kochanego ogródka; gościła tam długo, długo, póki jej widok mogiły ojca nie odwołał do rzeczywistości.

A ile razy spozjrzała na żółty pagórek i jasny jeszcze krzyżyk co stał na nim: to się żegnała z przerażeniem, ze strachem, i biegła ukryć się do swojej lepianki, aby nie widzieć mogiły, z której mówił do niej groźny głos ojca.

Tumry, gdy go opanowała tęsknota, wylatywał ze swej chaty, i z włosiem rozwianym, z nagą piersią biegł gdzie go oczy poniosły. Czasem wpadł w las i pędził zaroślami. gęstwiną, aż się znużył do upadłego: jak kół, co się wyrwie ze stajni na swobodę i hasa choćby się miał rozbić; to znów przerzynał góry i lasy bezwładnym biegiem, aż się gdzieś oparł o staw, o rzekę, o jar, i upadł na ziemię cały drżący i bezsilny.

Wśród tego ruchu szalonego, który nim miotał jak nieprzytomnym, nieraz w milczącym powietrzu obita się

pieśń cygańska, nieraz łzę niepojętą poniosły wiatry w stronę przeciwną, i śmiech dziki zawarczał z ich szumem. A choroba ta w obojgu rosła i rosła olbrzymio! W początku była to tylko tęsknota chwilowa, którą lada wrażenie rozpedzić mogło; później stała się codziennym pokarmem prawie, wreszcie robakiem, który pożerał dniem i nocą.

Często dni całe nie przemówili do siebie słowa: cygan jak zwierz w klatce kołował po izbie, Motruna patrzyła na ścianę, przez którą widać było jak na dłoni wioskę, i we wsi chatę, starego Kasztana, Burka, kury, parę gołębi i ciche podwórko ze staruszką gruszą...

Po smutnej jesieni przyszła zima szybko, a taka straszna w swym białym całunie, taka mrożąca do kości! W lepiance zrobiło się chłodno i poczęły świecić szpary, przez które wiatr wlatując, wygrywał zawczasu dzikimi tony złowrogą pieśń spustoszenia. Tumry lepił, otykał, pracował znowu; ale na wysokiem wzgórzu i deszcze, i wiatry silniej się niż gdzieindziej czuć dawały, i pierwsze mrozy przejęły ich do kości. Napróżno rozpalono ognisko, do którego każdą zgniłą gałąź i spruchniałe polano musiał na plecach cygan przynosić: kwaśny dym tylko wyjadał im oczy, a ciepło uciekało szparami!

Były dni, że śnieg zawiał ich całkiem, to znowu woda z niego zalała sień i izbę; a gdy po wodę z góry iść przyszło, Motruna padała na ścieżce lodem pokrytej.

Chleb i grosz ciągnęły się jeszcze, ale już były u schyłku; i dnia jednego wyniósłszy resztki mąki, upiekłszy podplomyk zamiast chleba: Motruna załamała ręce nad bodnią próżną jak przepaść... Tumry już wprzód zajrzał był do niej, i widział, że węzelek chusty, w któ-

rym ostatni grosz się mieścił, pusty, rozplątany, wisiał na kołku w alkierzyku... A kuźni nie było, i roboty nie było, i ze wsi ani głosu żywego.

Jednego wieczora, gdy oboje drzeli od zimna, cygan westchnął głęboko i długie przerwał milczenie:

— No! Motruno! — rzekł — już chleba nie ma, a *mandru* sam nie przyjdzie. Myślałem ja długo; nie ma rady, trzeba pójść i za lichy grosz robić młotem w drugiej wiosce... A jak ty tu sama zostaniesz?

Motruna poczęła się bawić końcem fartucha, spuściwszy oczy w ziemię.

— Zostanę — rzekła — zostanę: będę pilnować chaty i ciebie wyglądać...

— Ja taki przyjdę choć raz w tydzień, co niedziela, i chleba lub grosza przyniosę... ale iść potrzeba...

— Może też we wsi choć prząść mię kto weźmie — cicho odezwała się kobieta.

— Nie! nie! — zawołał Tumry — darmo i nie probować, ani darmo prosić! Nie chcę i łaski: obejdziemy się jeszcze bez niej.

— No! to się obejdziemy — odpowiedziała Motruna — będę siedzieć w chacie.

— Ale sama, sama jedna naprzeciwno cmentarza! Gdy przyjdzie noc, wytrwaszże ty ze strachu, kiedy mnie nierzaz, gdy wiatr poświśnie, ciarki po plecach przechodzą?

Motruna wstrząsła się cała.

— Wyżyję — rzekła smutnie — a jakbym i umarła, to ci lżej będzie. Pochować, taki bracia pochowają przez litość; do mogiły nieść nie daleko, a ty pójdiesz w świat znowu.

— Cicho! cicho! — krzyknął cygan — nie mów mi

tego! Tylko tę zimę przebyć; a nie postawię kuźni, to chatę podpale i pójdziemy w świat...

— A! ale ta zima taka długa!

— A! długa Motruno! ale i życie długie, a przeżyć je trzeba! Ale kto ci tu wody nosić pomoże, drew przysposobi, i choć słowo do ciebie przemówi?

Motruna nie odpowiedziała ani słowa; a że ogień wygasł i nie było go czem podpalić, ustala rozmowa, i dumy obojga poszły przebijając ciemności, każda w swoją stronę.

Nazajutrz rano Tumry mimo chłodu i zamieci, z myślą jakąś wybiegł z chaty i skierował się ku wiosce, jakby szukał kogo, jakby chciał napatrzeć. Ale we wsi było pusto, że ledwie człowiek worem okryty, lub kobieta ze spódnicą narzuconą na głowę, przesunęli się przez ulicę; i tylko dym na slotę włókł się i szarą mgłę rozposcierał nad czarnymi dachami Stawiska.

Tumry do południa chodził po za stodołami, po drodze, po brzegu lasu, i z niczem, zmokły powrócił; tylko oberemek suchych gałęzi przydźwigał do domu i milczący siadł w kącie. Motruna rozpalila ogień, a cygan po krótkim spoczynku wybiegł znowu. Trochę się było wypogodziło, wiatr chumry rozpędził, i kawalkami sine na mroź poczęło pokazywać się niebo. Tumry błędził wciąż koło wioski. Już zmierzchało, kiedy się z głupim Jankiem spotkali.

Janek szedł dźwigając wór z młyna, bo na taki czas i błoto żalowano wołów, i bracia go posłali, żeby chudoby zaoszczędzić. Aż przykro patrzeć było, jak skulony biedny potwór pod ciężarem woru uginając się, brnął boso w zamarzającym błocie. Ale gdy go Tumry pozdrowił, gdy podniósł żółtą twarz swoją, nie znać

na niej było tego wyrazu męki i znużenia, jakiego się na niej spodziewać było można. Owszem uśmiech latał na wargach skrzywionych, i oczy błyszczały swobodnie.

— A dokądto Janku? — spytał cygan — ja cały dzień szukam ciebie i znaleźć nie mogę.

— Boś źle szukał, cyganku kochanie — odparł stawiając wór na kamieniu Janek — było mnie szukać gdzie ciecze, gdzie biją, gdzie mokro, gdzie chłodno i głodno, tobyś mnie pewnie znalazł.

— E! — dziko się rozśmiał Tumry — taką rzeczą powinienem cię być znaleźć u siebie, nie szukając i nie ruszając się z miejsca, bo u nas to wszystko w chacie.

— Cha! cha! i głód? — spytał Janek.

— O! i nie dziś... bo już chwała Bogu i chleba nie stało.

— Cha! cha! — rozśmiał się Janek po swojemu, chuchając w skostniałe ręce. — No! a cóż będzie?

— Słuchaj Janku, jak ty nie pomożesz, to zginiemy!

Mały człowieczyna aż się za boki porwał od śmiechu, gdy to usłyszał.

— Aj! aj! daruj życie — zawolał — dalibóg umrę ze śmiechu, kiedy to i głupi Janek ma się zdać na coś na świecie, oprócz rąbania drzew i noszenia worów z młynów po blocie!

— Ratuj Janku, pocziwa duszo! — rzekł Tumry — a nie, to poginiemy.

— Oj! oj! mucha prosi komara, żeby ją ratował! Dalibóg pękne! dalibóg pękne!

— Chleba nie ma — rzekł cygan — mąki ani odrobinki, pieniędzy ani grosza...

— No! no! dawno ja się tego spodziewałem; a co dalej?

— Trzeba iść zarabiać gdzieindziej, a Motrunę samą porzucić!

— A dokąd pójdziesz?

— Do kowala, do Rudni...

— I zarobisz? co ty tam zarobisz?

— A choćby bulkę chleba na tydzień; ale co zrobić z Motruną!

— A co cyganie braciszku, to i ją weź z sobą.

— Nie przyjmą nas we dwoje.

— A cóż będzie? — śmiejąc się, ale litościwie spytał głupi Janek — i co ja to mam robić?

— Gdybyś ty był taki jak ja myślę — rzekł cygan otwarcie — tobyś choć polano drzewa przyniośczasem Motrunie, a pod noc tobyś mógł na chatę nagłądać... niechby miała do kogo choć słowo przemówić.

Janek się zadumał, pokiwał głową i począł się bić po piersiach rękami długimi, wywołując tym ruchem trochę ciepła. Zdawało się, że ani myśli o czem mu Tumry mówi, a z pod przymróżonej powieki sączyła się łza: może wyciśnięta przymrozkiem wieczornym. A! bo też ledwie lachman miał Janek na sobie, i nogi bose, i słomiany, dziurawy, ze śmieciska gdzieś zdjęty kapelusz na głowie.

— Cha! cha! — rzekł w końcu — a jak ja ci żonkę zbalamucę? A to się tego nie boisz, cyganie kochanku; taki piękny mężczyzna jak ja, to niebezpieczna sprawa.

— Ej! ciebie się żarty trzymają, a mnie się serce kraje! — zawołał cygan. — Ratuj kiedy możesz, a nie szydź z nędzy!

— Oj! oj! co ja wam poradzę! Poprobuje co zdołam, ale niedaleko wy ze mną zajedziecie! niedaleko! A ty myślisz, cyganku kochanie, że mnie to tak łatwo swoją chatę porzucić i pójść do was na służbę za miarkę powietrza? Myślisz, że to mnie u panów braci niedobrze! A to ja się tam wylegam czasem nawet w izbie, a bywa i na ławie pod piecem! I taki szmat mi na plecy dają, i odzienie niczego, i poczęstują codzień knakiem, żebym nie zapomniał, że mam plecy... A jak raz do ciebie pójde na parobka, już gdybym wrócił kiedy do nich, wyszczują mnie psami, stary indyk nawet oczy mi wydrapie... Ot taki wóz lub przewóz: a jak zechcę co dla was zrobić, panów braci potrzeba będzie pożegnać.

Cygau milezał.

— Czy ci to tam tak dobrze? — zapytał.

— Cha! cha! cyganku kochanie, albo mi to u was będzie lepiej, myślisz? Od swojej doli się nie wykręci: człowiek ją na plecach nosi, i żeby się jak trząsł, to jej nie zrzuci. A swoją chatą, to taki swoją chatą, cyganku serce moje; ty tego nie znasz, ale do niej jakby za nogę przywiązał! Jam się bo tam urodził. O! — dodał ciszej spuszczać głowę — i tam miałem matkę...

Ten wyraz wybiegł mu z ust ledwie dosłyszany, a za nim westchnienie, a za nim łza, i głupi Janek stał się nagle poważnym.

— Słuchajno — rzekł inaczej już i głos zmieniając — ja chaty dla was opuścić nie mogę, bo w niej chcę umrzeć, a gdybym raz przestał im służyć jak wół, nigdyby mnie już nie puścili do niej; ale na to jest rada.

— A jakaż rada?

— Będę i im, i wam służył. Prawda nabija mnie

trochę więcej, ale moja skóra twarda! Nocką pójde chaty pilnować, ale nie wprzód aż się u nas pospią, i powracać będę o drugich kurach. A żeby nie spostrzegli że się wałęsam, będę już spał w plewniku, choćbym zmarł.

— Ale! to zima! nie wytrwasz!

— Już ja wiem, co ja wytrwać mogę — kiwając głową rzekł Janek. — To moja sprawa. Polano drew i czasami suchy chleba mego okrawek przyniosę Motrunie... Bądź spokojny, idź do Rudni, idź cyganku, tylko wszystko mi strach, żebym ci żony nie zbalamucił!

I znów się śmiać począł głupawo a szydersko.

— Niech ci *Mroden-oro* płaci — zawołał cygan.

— Chyba że ten ktoś, bo że nie wy mi zapłacicie za służbę, to pewna — rozśmiał się Janek. — I ja też taki bogaty, że płacy nie potrzebuję; ot widzisz, że wam się na coś przydałem i dobrodziejem jeszcze będę! A! gwałt! ratujcie! głupi Janek dobrodziejem! Umrę ze śmiechu...

To mówiąc pochwycił wór lekko i żwawo, i nie odwracając się do cygana, kilka kroków z nim podskakując zrobił, i obejrzał się.

— Cyganku kochań — zawołał — już ty mi bądź spokojny, Janek nie da nic wam złego zrobić, i co powiedział, to dotrzyma. O! Janek wielki pan! cha! cha! Janek dobrodziej!

I na całe gardło śpiewać począł wlokąc się dalej samym środkiem ulicy i błota, ku chacie swojej.

Cygan zadumany poszedł napowrót ku emientarzysku, i spokojniejszy nieco począł się zbierać do drogi.

— Jużem tobie tu Janka namówił — rzekł do Motruny — że ci służyć będzie. Na całą wieś jedna dusza

poczciwa, i to w takim kadłubie, że gdyby jej kto sto lat szukał, w nimby się nie domyślił. Janek ci drew przyniesie i w nocy pilnować będzie; ale jutro jak świt iść trzeba...

Całą noc płakali, a pożegnanie jak śmierć smutne było; jednak Motruna myślała: gdy jego nie będzie, to choć spróbuję na wioskę wybiedz trochę... a Tumry ja-koś żywo dumał, że nową wieś i nowych ludzi zobaczy. Ale gdy u progu podali sobie ręce skostniałe i spojrzeli na twarze zbladłe, na oczy zapadnięte i wypłakane, na drżące i sine usta, gdy przyszło się rozstać, jakby ich co przykuło rozejść się nie mogli, i ani Motruna wrócić do izby, ani cygan wyruszyć w drogę.

Tumry wreszcie pierwszy pocałował ją w czoło, po-dniósł kij i skoczył na gościniec tak prędko, jakby go kto gonil.

Boć goniła go troska, zgryzota, niepokój i uędba, których połowę zostawił Motrunie, a pół wziął do torby podróźnej.

Zdawało mu się, że staje tak ubiegł z oczyma zamkniętymi. Podniósł głowę, spojrział i zadrżał, wprost sama jedna z całego cmentarza pokrytego śniegiem łó-ciała mogiła Lepiuka, a na jej krzyżyku siedział kruk czarny, przekreślał głową i krakał.

Motruna została sama w chacie, a gdy po odejściu męża weszła do środka, ścisnęło się jej serce na myśl, że już nierychło ujrzy jedyne go swego opiekuna. Po-trzeba było samej sobie wystarczyć rękami, głową i ser-cem; karmić się, by nie umrzeć z głodu, karmić, by

nie zginać z nudy i strapienia.

A w chacie tak było pusto, tak pusto! Prócz kilku wróbli, które już przy nowej lepiance zajęły sobie w strzesze mieszkanie i świergotały przerywając milczenie, żywego niespostrzegłeś stworzenia: ni psa, ni kota, ni kury, coby szczebiotała w sieni, ni gołębi na dachu, ni głosu krówki z obórki, ni żadnego z tych towarzyszków pracowitego wieśniaczego życia, z którymi jakoś weselej.

Cały dzień ten zszedł na płaczu; nie zapaliła nawet ognia, i przesiedziała w kącie izby na garści słomy, obwinięta kożuchem i świtą, nie poczuwszy że marznie i kostnieje. Mrok padał, gdy kroki dały się słyszeć koło chatki; ktoś zaszemrał w sieni, zrzucano brzemie drzewek i głowa Janka pokazała się przez drzwi wpół otwarte.

— Dobry wieczór, gosposiu — odezwał się doń wesoło. — Ot i ja, wasz stróż i parobek! A co u was i ognia nawet nie ma w piecu!

— A! Bóg ci zapłać — odpowiedziała Motruna. — Bóg zapłać żeś przyszedł, bo pod noc straszno mi się robić zaczynało. Nie rozpalałam ognia, bo mi się już nie chciało, a zimna nie czułam.

— No, to ja go rozpale — rzekł wchodząc głupi Jank — z ogniem, to jakoś weselej! Przyniosłem także trochę kartofli, bułkę chleba i co tam mogłem znaleźć, bo podobno zapasów nie macie. — To mówiąc złożył na ławie swój węzelek, zgromadził gałęzie i trzaski, dobył ognia, i jak najlepsza gospodyni zajął się około pieca.

— Oj! coś-bo u was — rzekł rozglądając się po garnkach — strasznie jakoś gospodarstwo kulawe. Motruno! coto się tobie stało? A toż bywało chwalili na całą wieś, że z ciebie taka doskonała gospodyni.

— E! Janku — szepnęła kobieta wzdychając — było gospodarstwo, gdy było na czem gospodarzyć, a teraz!

— Ale bo to nie sztuka — odparł śmiejąc się i jaksząc Janek, który się krzątał przy piecu — nie sztuka gospodarzyć, gdy jest na czem; ale jak nie ma z czego, a dla tego i ład jest i ciągnie się...

— Wiecie, jaka nasza dola: mnie już ręce opadły.

— To źle! cha! cha! to bardzo źle, Motrunko! Jak wy sobie pozwolicie, to i mąż nie da rady domowi.

— Ani on ani ja... zginąć nam podobno...

— Aj, żebyżto człowiek tak mógł zginąć gdy zechce, i gdy mu źle ustąpić się; ale to bieda, że chudy pies najdłużej żyje; — nie zabijają go dla skóry...

Mówił, garnki pomywał, wodę nastawiał, a niekiedy rozglądał się po chatce i okiem rzucał na Motrunę siedzącą w kącie i odrętwioną.

— A ot i nowiny many — rzekł po chwili. — Wy nic widzę nie wiecie, co się na wsi i we dworze dzieje, kiedy się mnie nie pytacie nawet!

— Tak mi z tem, jak bez tego! — odpowiedziała obojętnie kobieta.

— A może i niebardzo! — przerwał Janek — wszakto pozawczoraj jeszcze nasz pan z za morza powrócił!!!

— Pan powrócił! a pani? — poruszając się z miejsca zawołała kobieta.

— Poczekajcieño — rzekł Janek — ot zaraz wam powiem jak to było. Trzeba wam wiedzieć, że mnie nigdy na pańszczyznę nie posyłają, bo ekonom takiegoby cherlaka nie przyjął, chyba za dziecko lub babę. Głupi ekonom! nie wie, że ja za dwóch zrobię, choć i na pół człowieka nie wyglądam! Wczoraj posłali mnie za bratową do młockarni... Otóż wszystkiego się dowiedzia-

łem; byle uszy, to się jest czego we dworze nasłuchać, gotuje się jak w garnku!

Zaciekawiona Motruna wstała i zbliżywszy się do pieca na którym palił się ogień, usiadła na przyźbie. Janek wieczерze gotował.

— Wójt, gumienny, ekonom i cała gromada nic nie robili — kończył — tylko gadali a gadali o panu, który powrócił.

— Czemużes ty Tumremu o tem nie powiedział? — spytała Motruna.

— Myślałem że wie! — rzekł Janek.

— My tu jak na pustyni! — zawolala kobieta — co my tu wiedzieć możemy; chyba kto umrze we wsi, jak na cmentarz przywiozą! Ale cóż tam mówili?

— Ot zaraz — coraz rozgadując się mówił parobek — bo naprzód trzeba wiedzieć, że pani umarła gdzieś daleko, i jegomość sam, słyszę, powrócił.

— Umarła! — krzyknęła z żalem w ręce uderzając Motruna. — Ach! ja nieszczęśliwa!

— No! no! nie lamentujcie, bo może i Harasymowicza się zbędziemy — rzekł Janek — to lichodokuczliwe... Pan, słyszę, jak pojechał żółty, blade i słabeńki, tak i powrócił nielepiej. Nic tam jeszcze doktory nie pomogli. Zaraz, słyszę, jak tylko na próg dworu stąpił, kazał zawołać kapitana i coś jemu takiego powiedział, że kapitan poleciał do oficyny i pakować się kazał... Mówią, że ma wyjechać... Czegoś się kłócili, i jegomość mu jakieś papiery rzucił w twarz... Ot co ludzie gadają, a dziś gromada harmem idzie do dworu ze skargą na Harasymowicza.

— A cała nadzieja była w pani — westchnęła Motruna. — Jej nie ma, umarła i ta biedniaczka!

— Prawda, że to ona was pozeniła — rzekł Janek —

musicie jej żałować, i krowę wam dała. — Hm! ale nie macie za co jej dziękować, że wam do biedy dopomogła. Byłaby was dola wasza nie minęła. A i pań niezły, gdyby tylko nie lenistwo, że mu się czasem do człowieka gęby otworzyć nie chce... Moglibyście pójść do niego.

— To darmo! — cicho odpowiedziała Motruna — to darmo!

Janek spojrzał na nią, ruszył trochę ramionami, i począł łamać gałęzie u progu, przygotowując je do utrzymania ognia.

— Mnie trzeba będzie iść — rzekł — ale na chatę zdaleka naglądać będę. Macie tu gałęzie i łuczywo, świećcie sobie póki nie zaśniecie... I żebyście chcieli dobrej rady posłuchać, tobyście tak rąk nie opuszczali... Jak człek się kręci, to mu na sercu lżej jakoś... Dobranoc Motruno!... Ja tu niedaleko przenocuję...

Motruna znów spuściwszy głowę nie odpowiedziała Jankowi i zapatrzyła się w palający ogień, który dwie łzy toczące się po jej twarzy oświecił... Żegnała niemi kobietę, której fantazja więcej niż serce związała ją na wieki z losem cygana.

— I ona umarła! — mówiła w duchu. — Czasem mi na myśl przychodziło, że powróci, że pomoże, że się choć ona ulituje... Bóg ją wziął, żeby i tę nadzieję nam zabrać.

W takich myślach, dając wygasnąć ogniewi i pozastygać garnkom, biedna żona cygana przetrwała do północy; wśród ciszy nocnej słychać było już trzecie kogutów pianie na wsi, gdy sen powieki jej zmrużył.

Ze dniem zjawił się znowu Janek, który poleciał był do swojej chaty pokazać się braciom i wrócił do-

pomódz Motrunie ogień naniecić.

Zdziwił się spostrzegłszy ją uspioną na tem miejscu, w którem wczoraj porzucił z wieczora: ogień nie poprawiony, nie zgarnięty, a garnki ostygłe i nietknięte.

Skrzyp drzwi przebudził kobietę, a płomień ogniska oprzytomnił żonę.

— E! e! Motruno kochanie! — odezwał się Janek po swojemu — coś ty mi się nie poprawiasz, nie z ciebie nie będzie! Jaka z ciebie gospodyni drzemać pod piecem. I wicherzy nie jadła, i objadu gotować nie myśli. Ja za ciebie wszystkiego zrobić nie mogę, rusz się i sama!

— Do czego? — spytała kobieta — do pustych bodni i porozsychanego naczynia?

— A czemu bodnie puste? — spytał Janek — to ty winna! Czemu naczynie się porozsychało? nie przez kogo tylko przez ciebie!

— Przezemnie?

— Dawniej bywało — mówił głupi Janek — Motruna i za cygana i za siebie pracowała: wodę nosiła, chatę lepila, krzątała się, aż miło; jam nieraz z daleka patrzył. Teraz ją ani napędzić! Wstyd! wstyd!

— Coś ty mnie łajesz, Janku?

— A muszę, Motrunko kochanie — odpowiedział, wciąż się krzątając koło chaty parobek — bo mnie za ciebie wstyd! Piękna z ciebie żona i gospodyni! W chatę nie umieciono, na piecu węgle zgasły, garuki brudne! Coś miała cyganowi pomagać, to mu będziesz ciężzyć! Wstawaj do roboty!

Jakoż tak szczęśliwie i śmiało przemówił Janek, że Motruna chwyciła się przecież z ławy i pobiegła do ognia; on się rozśmiał i zniknął.

— Doprawdy — mówiła w duchu kobieta — może głupi Janek i prawdę mówi: co ja wysiedzę pod piecem!

W tem zaszcebiotało coś i zaskomlało w sieni.

— A toż co? — stając zapytała kobieta i serce jej zabiło, choć na głos zwierzęcy tylko, bo i tego tak dawno nie słyszała, a tak się jej żywo przypomniała chata rodzinna!

— Wszak ci to kura gdaćce w sieni i coś skomli! — Otworzyła drzwi, przyświecając łuczywem.

Sionka była od podwórza zamknięta, a po niej zwiłajała się para kurek ślicznych, i młody żwawy kogucik, który spostrzegłszy światło, wbiegł na próg, strzepnął skrzydlami i zaśpiewał. Motrunie aż serce zabiło.

— A mój Boże! — zawołała — czubaty! czubate! i jakieś śliczne!

Tuż pod progiem leżało kilkodniowe szczenię, skomląc, pelzając i nie mogąc przeleźć przez próg, który na jego nóżki był za wysoki.

— I pies! a! to będzie Kasztan! — krzyknęła, chwytając na ręce rudogo pieska, który piszczał ze strachu. — Poczciwy Janek! a niechże mu Bóg płaci. Ukradł chyba gdzieś dla mnie szczeniaka i te kury, boby mu ich w chacie nie dali.

Kury tymczasem wszystkie powskakiwały do izby i poczęły się rozpatrywać w nowem mieszkaniu, rozbiegając się po kątach, a Motruna oczyma chodziła za niemi:

— Jakież śliczne! jakież tłusciuchne! jakie wesołe! — wołała wesoło latając za niemi z psem na rękę. — Wychowam Kasztana na stróża naszej chaty, a z kur!...

Zamyśliła się.

— A czemże je będę karmić?!

Zasmuciła się tą uwagą biedna Motruna; w istocie, ani na śmietniku ubogiej lepianki, ani w izbie nagiej i pustej, kurze nawet nie było się czem pożywić, tak każde ziarnko i pyłek były tu drogie. Poczęła rzucać oczyma po kątach, jakby szukała pożywienia dla swojego nowego gospodarstwa, i dopiero spostrzegła węzelki, które poprzynosił z sobą Janek.

Było tam nawet trochę dla drobiu pośladu, a Motruna co najspieszniej posypała go na podłogę. Myśląc także o jedzeniu dla szczenięcia, znalazła chleb, a na widok jego obudził się i w niej głód, przytłumiony smutnem odrętwieniem.

Tak staraniem pocziwego Janka, który się już nie pokazał przez dzień cały, Motruna miała zajęcie, towarzyszków, głos, który ją budził, i jakiś nowy żywioł w życiu, pełnem dotąd dni jednostajnie grobowych.

Głupi Janek dumny opieką mu powierzoną, pracował za czterech, żeby wszystkiemi zaradzić, a w domu nie dać poznać swych wycieczek do cmentarza; bo jakkolwiek mało mógł korzystać od swoich dla Motruny, zawsze cokolwiek przynajmniej tajemnie jej ztąd przynosił. Nie wzdygał się też wcale ukraść, i nie pojmował, żeby co złego czynił, biorąc kawałek chleba, trochę strawy, warzywa, lub kilka kur dla żony cygana. Wszystko to, czem zbogacał jej lepiankę, prawdę powiedziałwszy, aż do szczenięcia, kradzionem było; ale tak zręcznie, że się nikt nie domyślał złodzieja. Janek sam potem wysyłany na zwiady, szukał po wiosce tego, co pochwycił, i wieczorem doskonale braci i siostry

oszukiwał opowiadaniem o wszystkich kurach sąsiedzkich i kurnikach, które zwiedzał. Co się tyczy szczenięcia, to, zdaniem jego, żarłoczne jakieś stworzenie bednarza pożreć miało: a że najmniej dbano o psa, nie bardzo się też zniknięciem jego kłopotano.

Z największą usilnością głupi Janek ledwie mógł dniem i nocą wystarczyć na dwie chaty oddalone od siebie; ale się rozdzielał jak mógł, i o siebie nie dbał. W domu zrzucano na niego najcięższą pracę, którą że na pozór leniwie odbywał, stawało mu czasu na dobieżenie do cmentarza i najrzenie na chatę cygana. Motruna nie miała potrzeby ani po wodę chodzić, ani o drwach myśleć, ani się chlebem kłopotać: dla niej jednej, kur i szczenięcia było dosyć.

W niedzielę rano nadbiegł Tumry wybladły, żółty, zasmolony, z oszczędzonym chlebem i kilką groszami w węzelku i zdziwił się, widząc Motrunę weselszą, witającą go w progu i chwalcą się bogactwem swojego podwórka, a nawet psem, który już szczekać i burczeć poczynął.

Lzy zakreśliły się w oczach cygana, gdy mu żona opowiadać zaczęła o Janku; ale się razem zafrasował myśląc, zkad to wszystko biedny karzeł mógł dostać.

— Ani chybi, musiał *ciurawa* (kraść) — rzekł w duchu. Pocziwy *ciurachan!* (złodziej), ale nuż złodziejstwo się odkryje? Jego nie posądzą nawet, a na nas bieda spadnie!

Nie śmiał jdnak powiedzieć tego Motrunie, która tak się cieszyła gospodarstwem swoim, że i cygan przy niej poweselał.

— A wiesz — rzekła po chwili — wszakto i nasz pan powrócił i kapitana slysze wypędził, a nasza

pocziwa pani umarła!

— Trzeba iść do dworu! — zawołał, nie tyle zważając na śmierć pani, co na powrót pana, cały sobą zajęty cygan — może nam co pomoże!?

— Takto i Janek radzi! — dodała Motruna — ale ty pana nie znasz! Przystąpić do niego trudno: kilka dni chodzić trzeba nim słowo przemówi, a taki chory, taki spiący, że sam nie pomyśli o człowieku...

— Ha! spróbuję — rzekł Tumry.

Jakoż z południa, odmywszy się trochę cygan, nie bez obawy powlekl się do dworu.

Ale tu przyszedłszy w dziedziniec, opędziwszy się psom, które na niego zajadle ujadły, potrzeba było stanąć opodał od ganku, i czekać zmiłowania losu i ludzi. Chodzili słudzy, mijali, żaden nie spojrzał; któryś spytał i ręką kiwnął, drugi rzucił słowo, że pan nie ma czasu, a cygan stać i stać musiał. Nie miał on jeszcze wprawy częściej do dworu chodzących ludzi, którzy umieją podsunąć się pod okno, zakaszleć gdzie pode drzwiami, i znudzić tak samą cierpliwością swoją, że ich nareszcie albo z niezem odprawia, albo do sieni wpuszcza. Szczęściem dla Tumrego, pan Adam spojrzał ziewając przez szybę, i dostrzegł chmurną, uderzającą wyrazem twarzy i smutkiem postać cygana, który sparłszy się o drzewo z oczyma w ziemię wlepionemi, jak zdrętwiały czekał co los postanowi, sam sobie radzić nie śmiejąc.

Pan Adam nudził się znowu jak dawniej. Wyjechał był z żoną za granicę leczyć wyżycie się swoje, ale nigdzie dłużej nad kilka tygodni bez ziewania nie wysiedział. Francuska szalała ciągnąc go jak przykutego niewolnika za sobą, a on niecierpliwił się tylko, lub

zastygły śmiertelnie nudził. Los tak chciał, że to małżeństwo, które przypadek skojarzył, prędzej niż się spodziewać było można, rozerwać się miało; pani Leroux, późniejsza pani Adamowa, zaziębła się wychodząc z balu wśród tłumu adoratorów, których jej nigdzie nie brakło, wpadła w suchoty i umarła.

Wypadek ten przerwał monotonię żywota Adama chwilą prawdziwej rozpacz, bo zrazu zdawało się, że pójdzie za żoną: tak się był do niej przywiązał, tak strata jej wielkie na nim uczyniła wrażenie; ale gdy karmiąc żal swój, po kilku tygodniach pan Adam począł szykować pozostałe po żonie pamiątki, wpadł na jej papiery, i te z żalu w gniew i rozdrażnienie go wrzuciły. Tyle tam znalazł miłosnych bilecików, tyle dowodów oszukaństwa, tyle szyderstwa z siebie, że przy najgorętszej chęci zaślepienia się, musiał ze wzdrgnąciem pamięć tej kobiety, która z zimną krwią urągała się jego sercu, odepchnąć. Powrócił do kraju i dawnego życia swojego, a na wstępie znalezione listy kapitana Harasymowicza rzucił mu w oczy, dając odpawę. Kapitan próbował pomimo tego ostać się w Stawisku, korzystając ze słabości Adama, bo mu zarząd majątkiem i życiem cudzem bardzo były dogodne, ale się nie udało. Adam wysłuchawszy skarg gromady, które dodały jeszcze gniewu, wyprawil w kilka dni dawnego faworyta swej żony.

Znowu więc dwór w Stawisku stał pustką, zamieszkaną przez najstraszniejszą ze wszystkich nud — nudę z życia, wyczerpania, beczsilności. Adamowi nie na świecie nie smakowało, nie go rozcrwać nie mogło: konie, psy, ludzie, zarówno mu byli obojętni. Całe dni spędzał w pół-sennem dumaniu sybaryty, który przemyśla

czemby się potrafił rozbudzić. Przychodziły mu dzikie zachcenia Neronów i Kaligulów, i wzdychał żalując, że dla rozrywki nie mógł spalić Rzymu, by pieśnią pogorzeliśko jego uczyć; lub ożenić się z koniem i nbóstwiać bydlę, a lnd, co go czcić będzie, zbydlęcić...

Ludzie jego nie mogli dać rady zdziwczalemu, tak osobliwszemi chęciami i niespodziewanemi młotał się gniewami. Były dni łagodności i dobroci bezsilnej, w których się wszystkim powodować dawał z uśmiechem obojętnym; w innych rzucił się, rozpałał, bił i wściekał bez przyczyny. Po namietnym wybuchu, następowały dni cale apatji, milczenia, nieruchomości, przerywane potem wulkanicznemi, niespodziewanemi wybrykami. Niekiedy przypuszczał sługi niemal do poufalości, słuchał opowiadań, zdawał się zajmować losem; a naza-jutrz karciał nietylko słowo, ale ruch i szelest, który go podrażnił.

Takim był pan Adam pomimo swej młodości, zniszczony rozpieszczeniem, próżnowaniem i bezczynnością umysłową. Szczęściem dla cygana, dzień, w którym przyszedł, był dobą dobroci; i pan spojrzawszy przez szybę na człowieka, który godzin kilka stał niernchomy oczekiwaniem, począł jakoś swoją nędzną dolę porównywać do jego doli,

— Słota, chłód! jak ten człowiek wytrwać tak może! Musi mieć bardzo coś pilnego, kiedy tak stoi upornie.

Jeszcze z pół godziny przechadzał się pan Adam po pokoju, coraz to oglądając przez okno na cygana i obserwując go, jakby naturalista studjował robaka; jakoś go to zajmowało, nie spieszył się więc z przywołaniem zagadki. Nareszcie, gdy się już zmierzchać zaczynało, a Tmry jeszcze się nie ruszył, posłał człowieka, aby

go zawolał do przedpokoju.

Tu pan zasiadł z fajką w podanem krześle, i począł się bawić przybyłym.

— Słuchajno ! — rzekł — coś ty za jeden, i czego mi tu stoisz przed oknami ?

— Jestem kowal — odparł Tumry — cygan — dodał ciszej.

— A ! a ! przypominam coś sobie : jakaś historia, czeniecie !... moja żona... Co to było ?

Cygan, któremu się w głowie pomieścić nie mogło, żeby kto dotkliwej jego nędzy zapomniiał, spojrział na ziewające paniątko wielkimi oczyma.

— Może mi to — dodał Adam — od początku, bo nic nie pamiętam.

Cyganowi nie łatwo było się wytłumaczyć i dla zbytku rozdrażnienia, i dla niepokoju, jakim go ten zastygły pan przejmował, zdający się nic nie czuć i nic nie pamiętać ; zebrał się wreszcie na historję swoją, a pan Adam wysłuchiwał ją nie przerwawszy słowem.

Pomimo że w opowiadaniu był tylko skielet ciężkiego losu młodej pary, że z niego niepodobna było pojąć co ucierpiała, paniątko zdawało się zajmować kowalem.

— Śmieszna była myśl mojej żony, rzekł w duchu — pożenić ich, psa z kotem, i wystawić na prześladowanie wioski. Cygan byłby poszedł dalej, a dziewczynę we wsi wydaliby za mąż ; a tak ! co tu poradzić ?

— Czegoż ty chcesz ? — spytał cygana po chwili namysłu — kazać, żeby cię kochali, nie mogę, a z gro-madą sprawa trudna gdy się zatnie ! Nie lepiej żebyś się przeniósł gdzieindziej ?

— Dokąd i o czem ? — spytał cygan. — Postawilem

już chate, dość tu mojego potu na tej ziemi; żonie i nie pora i nie siła rzucać wieś, w której się urodziła i do której przywykła... Gdyby mi trochę pomocy, gdyby siaka taka kuzienka, ludzieby taki przyjsć do niej musieli: wprzód obcy, potem swoi.

Pan Adam się uśmiechnął, pokiwał głową.

— Próbuj kiedy chcesz — rzekł obojętnie — ja ci pomódz pomogę, ale wiem że to darmo.

To mówiąc dobył grosza z kieszeni, wyliczył złotych kilkadziesiąt, i rzucił je na stół; ale z taką wzgardą, tak jakoś niechętnie i bez serca, że ten dobry jego uczynek ledwie nie oburzył cygana. Musiał jednak przyjąć datek, i opłaciwszy go jeszcze rozmową, z której pan Adam wyciągnął trochę rozrywki, poszedł weselszy do chaty.

— Muszę też kiedy pojechać zobaczyć tę chatę za wsią, o której mi podobno i ludzie już wspominali — rzekł w duchu; — ma to być doprawdy ciekawość! Szczęśliwi ludzie, jak im się chce żyć, jak im nie wiele potrzeba!

I ziewać począł znówu, na inny tor myśli wpadając, gdy cygan leciał już do Motruny pocieszyć ją lepszą nadzieją. W istocie datek pana, mógł wystarczyć prawie na pobudowanie kuźni, i pierwszy sprzęt do niej, gdyby się do roboty wzięto zaraz; ale zima trwała jeszcze, i nie począć nie było można.

Motruna spostrzegłszy z daleka męża, wyszła już przeciwko niemu, po ruchu jego poznawszy, że nie z próżnemi rękami przychodził.

Spojrzała na pieniądze i uśmiechnęła się składając ręce.

— No! cóż teraz pocniemy? — spytała...

— Muszę kuźnię postawić — rzekł Tumry — ale zima, nie pora, robić nic nie można! Jeżeli ten grosz ruszymy, na wiosnę nie będzie za co rąk zaczepić. Trzeba więc iść pracować na chleb znowu, i czekać!...

— A możeby to na chleb i na kuźnię starczyło — przerwała Motruna, licząc oczyma pieniądze.

Cygan pokiwał głową.

— Nie — rzekł — *łowy* (pieniądze) prędko wychodzą, tylko je zaczepić! Drugi raz już ich nie dostaniemy, a tu na warsztat, na *trast* (żelazo) i na wszystko wiele potrzeba. Zakopiemy je w chłupie, i musimy czekać do wiosny. Wiosna niedaleko.

— Niedaleko! westchnęła Motruna: poczekamy, poczekamy.

— A teraz jakoś i raźniej czekać będzie — odparł cygan. — Zobaczymy co we wsi powiedzą, jak tu na górze młot się odezwie i komin zadymi !!!...

Wlokąc się tak powoli na śniegach, słotach, mrozach i odelgach, przejechała nareszcie długa zima, a nie w lepiance pod cmentarzem nie zmieniło się jeszcze. Tylko Janek, który już był przywykł służyć żonie cygana i przywiązał się do nich, bo oni jedni mówili z nim jak z człowiekiem i kochali go jak brata, przygotował zawczasu głęboki koszyk na kołyskę, i nie chcąc go jeszcze pokazywać dla złej przepowiedni, przywiązawszy sznury, zawiesił na strych, aby w potrzebie zdjąć go tylko.

Tumry wciąż chodził do Rudni na robotę, a że pracował z ochotą i znał rzemiosło swoje dobrze, maj-

ster się nim chętnie posługiwał, zwłaszcza, że go niewiele płacił. Ludzie nawet rudeńscy śmieli się ze Stawiszczan na jarmarkach, że takiego kowala pod nosem mając, do cudzych o milę i więcej chodzą. Trafiło się, że gdy i do Rudni przyszedł kto ze Stawisk, Tumry mu posłużył, wyręczając majstra samego, ale nigdy jednem słowem żaden z nich nie zaczął cygana.

Zaledwie ziemia rozpuszczać zaczęła i zieloność się pokazała, Tumry najawszy człowieka, jał się już nie sam około kuźni żywo, bo rachował na czas roboczy, że we wsi będzie potrzeba kowala i ludzie się taki ku niemu nawrócą.

Grosz cały dany przez pana Adama, był zaledwie dostateczny na mizerną kletkę z dachem pokrytym darniną, i kupienie co potrzebniejszych sprzętów kowalskich, niedostatecznych do lepszej roboty, ale wystarczających dla wioski, w której zrobienie podošków do wozu, okucie konia, naprawa naralnika, pluga i zazeźbienie brony są najważniejszą kowala pracą.

Mularz, który horno z kupnej cegły stawiał, rzeźmieślnik, który miech zszywał, resztę pieniędzy zabrali, ale kuźnia w kilka tygodni była prawie gotową. Tymczasem jednak, nim się to wszystko wyrządziło, siejba wiosenna nciekla, a Tumry ani węgla jeszcze nie miał, ani obcąg i młotów. Począł więc rachować biedak na kosowicę i kosy, na żniwo i sierpy, na siejbę jesienną i plugi.

Tuż, tuż zdawało się, że już gotowe wszystko, że tylko zapalić węgle i stanąć do pracy; ale co chwila pokazywał się brak jeszcze czegoś najważniejszego, i trzeba było albo biedz do miasteczka, albo samemu sporządzać.

Już wiosna miała się ku końcowi, gdy wreszcie uznojony Tumry jednego dnia wszedł do chaty i padł na ławę, wołając :

— No ! dzięki *Mroden-oro* — poprawił się — dzięki Bogu, kuźnia skończona, i choć jutro fartuch zapasać !

Tych słów domawiał, gdy Janek zdyszany cały wsunął się tuż za nim, i klepiąc go po ramieniu krzyknął :

— Cha ! cha ! wielka nowina ! wielka nowina !

— A cóż ci to Janku ? z czemżeś to tak przyleciał ?
— spytała go Motruna z uśmiechem łagodnym, bo się do biedaka serdecznie była przywiązała.

— O staję od wioski — rzekł Janek — wracając z lasu, spotkałem bandę cyganów, która się na łące rozłożyła noclegować.

Tumry wstrząsł się cały, zabelkotał coś niezrozumiale ; a Motruna przestraszona instynktowo, zalamiała ręce.

— Czegoż oni tu przyszli — odezwiała się — po co ?

Serce jej bilo sama nie wiedziała czego, i strach jakiś ogarniał ; Tumry widocznie był poruszony i zniepokojony, ale usiłował udać obojętność.

— A co nam tam cyganie ! — rzekł powolnie — przyszli to i pójda przenocowawszy !

— Ale jednak pilnujno ty męża Motruno kochanie, żeby ci go cyganie nie pochwycili jak swego — dodał głupi Janek.

— Biada to już, kiedy kogo potrzeba pilnować ! — odparła kobieta.

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże — rzekł gość. — Ale mnie trzeba iść do chaty... dobranoc !

Zwrócił się i pobiegł.

Tumry i Motruna pozostali we dwoje myślący i smutni; myśl obojga leciała ku szatrze cyganów; on zwłaszcza kręcił się i chodził po izbie jakby go piekło, i chwili usiedzieć nie mógł na miejscu. Kiedy niekiedy żona rzuciła nań wzrokiem ciekawym, i wyraz jego twarzy przerażał ją. Nigdy jeszcze tak nie widziała Tumrego jak dzisiaj: wargi mu się trzęsły, oko czarne gorzało, pot lał się z czoła, nozdrza miał rozdęte a pierś podnosiła się i upadała jakby rozpęknąć miała.

Siedli do wiczczerzy, ale cygan nic nie wziął w usta, wciąż chodził milczący, chmurny, wpół obłąkany. Od progu jakby uciekał, do progu jakby go ciągnęło: zdawało się, że mu aż drży ręka, by pochwycić za kłamkę, ale miał siłę nad sobą.

Rzekłbyś atleta, co drze się z dzikiem zwierzęciem: tak walczył z sobą i miotał się żądzą jakąś.

— Słuchajno Motruno — rzekł stojąc w pośrodku izby — *Romy* (cyganie) wszystko mi popsuć mogą. Spieszylem z knźnią, rachując na porę roboczą, że zmnsi wieś pójść do mnie, jeśli oni tu postoją ze swoją, wszyscy zwrócą się do nich, i my przepadli.

— Za cōżby mieli ich woleć od nas? — spytała Motruna.

— Tamci im nic nie zrobili — jam dla nich winowajca!

— Ale cōż poradzić na to? — spytała kobieta, oczy na niego podnosząc.

— Co? — zawahał się Tumry — co, ja sam nie wiem. Pójdę do nich i powiem, żeby szli dalej.

— Ty! ty do nich? — rzekła, porywając się z siedzenia kobieta — co? żeby cię pociągnęli z sobą, żebyś przepała z ich reki, żeby cię zabili, otruli, oca-

rowali? Nie! nie! ja cię nie puszcę, i ty nie pójdziesz

Te słowa wyrzekła tak gwałtownie i namiętnie rzucając mu się na szyję, że Tumry zamilkł przemożony od razu jej boleścią: ale śmiertelna bladość twarzy mu okryła, i spuścił głowę jak skazany na ścięcie.

— No! to zginiemy, kiedy ty mi nie ufasz, Motruno — rzekł na pozór spokojniej.

— Ja ci ufam, ja tobie wierzę, ale im ufać nie mogę... Cyganie mścić się będą, żeś uszedł od nich!...

Tumry jakoś się rozśmiał szydersko.

— Takto ty znasz cyganów! — rzekł powoli. — A za cóżby się mścić mieli? Wielużto z nich już poobsiadało na gruntach i gospodarzą na miejscu! Słyszałeś kto o zemście nad nimi?

— Ale oni czarownicy — przerwała Motruna.

— Na czary są czary — odparł chmurząc się Tumry — a mój wzrok także za silny uchodził, bo go żadna siła nie zmogła!

Motruna, na którą spojrział w tej chwili tym przezywającym wzrokiem, zadrżała i spuściła oczy; poczuła w istocie jakby gorące żelazo przebijało jej serce, jakby łańcuch żelazny pierś jej ścisnął, aż oddech brakło, a w głowie kręciło się i wilo dziwacznie.

— Powiedz lepiej, że mi nie wierzysz — kończył cygan — ale nie że się o mnie obawiasz. Straszniej mi tu między twoimi, niż wpośród naszej braci *Romów*, a jednak widzisz, żeś cały i żyję.

— Ale po cóż iść do nich? — błagajaco, cicho, szepnęła kobieta.

— Ażeby ich ztąd copędzej oddalić!

Motruna nie odpowiedziała. Tumry na nią spojrział, spostrzegł ciche łzy, i począł znowu chodzić po

izbie, tak gorączkowo i szalenie, że się zdawało, iż le-
piankę rozwali, bo bił się w niej jak w klatce.

A kłamał biedny! kłamał szalony! bo nie strach
tam go do ogniska pociągnął, ale serce, ale wspomnie-
nie: ta siła tajemnicza węzłów kolebki, łańcuchów pa-
mieni, które chyba starość zrywa, chyba szczęście osła-
bia. Tumry nie miał jeszcze czasu zapomnieć swych wę-
drówek po świecie, ani ognistych czarnych oczu Azy,
ani zapachów cygańskiej *kakabii* (kotła), ani swojej włó-
czegi, pieśni, głodu, chłodu, prześladowania i zemsty!

A tak misternie wielki Stwórca złożył każde życie,
że jak w owocu ziarno, jest w niem odrobina szczę-
ścia, jest nasionko pociechy! Boleść podnosi, głód
oszała, nędza egzaltuje, prześladowanie spotęgowuje
człowieka, i na dnie tych klęsk zawsze znajdziesz oręż,
którym je zwalczyć można. Gdy cierpienie dojdzie do
kresu, z niego samego wystrzela siła przeciwna, która
już uczuć go nie da.

Tumry choć wiele przeboleł, teraz gdy się blizny
pogoiliły, gdy nowe rane krwią mu płynęły, w życiu
przeszłem widział tylko jego rozkosze, barwy, zmiany
i ruch za którym tęsknił. Serce jednym słowem zbu-
rzone, parło się w stronę braci, a myśl już kręciła się
w kole czarownem wspomnień dzieciństwa.

— A nuż to oni? — pytał się w duchu siebie. —
Aza, Aprasz, stara Jaga, Pehabaj, Puza; a nużto ten
namiot podarty, pod którym mi tyle kropel potu na
ziemię upadło? i skrzypiący werden, i koń ślepy... A!
gdyby ich choć zobaczyć! Czy też żyje żona Aprasza
i dzieci! Jakbym ich widział: przypadli pod lasem pe-
wnie w dolinie, nie śmieją iść do wioski... rozbili na-
miot... Aprasz siedzi twarzą w ogniu, bo mu go nigdy

nadto, żona jego mileży i dziecię kołysze, Jaga paple, chłopcy skaczą, koń się pasie na rozłogu! A! jak im tam dobrze choć chleba nie mają, jak swobodnie. Żeby ich choć zobaczyć!...

Wzrok Motruny zdawał się na wylot przebijać cząstkę cygana i czytać jego myśli; bo biedna coraz się bardziej smucila, a Tumry corazto szalał wyraźniej.

Bóg wie tam, która była godzina nocy, gdy przy wygasającym ogniu pokladli się spać wreszcie, a cygan obwinawszy się płachtą, głowę ukrył, aby nie pokazać że nie spi.

Ciągle w nim wrzało to pragnienie przypatrzenia się choć zdala cyganom; i walka z namiętną żądzą w człowieku, co się hamować nie umiał, wkrótce przerosła stan prawie szalu i gorączki. Znużenie po pracy zamykało mu oczy, a cyganie ciągnęli ku sobie; zasypiał, zdrzemnywał się, budził, jęczał, i szarpiąc pierś czarną, wpadł wreszcie w stan dziwny, który nie był ani snem, ani jawą.

Wyjątkowe duszy usposobienia wyradzają często dziwne także władze w człowieku, i spotęgowują go, podnoszą kosztem całego organizmu, który się przez posłuszeństwo myśli do cudów wysila; tak nawzajem choroba dręcząc ciało, przywodzi niekiedy duszę do niezwykłych jej polotów...

Zaledwie usnął Tumry, uczuł się schwycony nieopisaną potęgą, i wstał, cały potem oblany, wprost kierując się ku drzwiom.

Motruna nie spała jeszcze: ostatni płomyk ogniska oświeślał cygana, którego się przeleżała nieszczęśliwa, nieśmiejąc tchnąć, krzyknąć, ani go wstrzymać. Zalała tylko ręce i opuściła głowę, żeby go tak stra-

sznym nie widzieć.

Tumry zdawał się olbrzymem, tak wyprostował się pod naciskiem niewidzialnej siły; włosy powstały i najeżyły mu się na głowie, oczy miał słupem stojące, nieruchome i szklanne, brew namarszczoną; a w całym nim była taka niepohamowana wola, że żona nie pomyślała nawet przeciwko niej stanąć ze swemi łzami.

Drewnianym chodem kościotrupa skierował się do drzwi, otworzył je dotknięciem i rzuciwszy otwarte, znikł w ciemnościach.

Schwyciła się kobieta z posłania cała drżąca, chcąc zobaczyć, co pocznie; a że księżyc świecił na dworze, ujrzała go jak wyszedł z chaty, nie wstrzymując obrócił w stronę cmentarza, i wciąż niezwykłym chodem posuwając się, znikł jak widmo, w prostej linii strzałą prac się do niewidomego dla niej celu.

Chciało się za nim, ale ją siły opuściły, do reszty zbłąkało się w głowie i sercu; schwyciła tylko za piersi, osunęła się i upadła na progu. Tumry krzyku który się wyrwał z jej ust słyszeć już nie mógł, bo był daleko.

On leciał jak ptak, gonił jak zwierzę, nie wiedząc dokąd go wiedzie żądza, co nim kierowała: przeskakiwał mogiły i krzyże, przelatywał rowy, wdrapywał się na góry, przelazł przez jary, a krok jego był tak pewien, noga tak silna, moc co go wiodła tak zwycięska, że nic go wstrzymać nie mogło. Żadna zaporą nie zastanowiła go chwili: łamał krzaki, rozbijał grudy spiekłej ziemi, deptał chwasty kolące i nie czuł, że krew mu z piersi i nóg ciekła.

Nareszcie w głębi doliny pod lasem zaświeciło czerwone światelko, i cygan zadrział, podwajając biegu.

Księżyc wypłynął z chmur, i przyczynił nowego uroku dziwnemu obrazowi, który się przed oślepleni oczyma cygana roztaczał. Noc była ciepła i spokojna, wiatr zaledwie trawy i liście poruszał; niebo miało barwę ciemno-szarą, poprzerzynaną białymi jak wełna obłoczkami. Na dnie parowu szerokiego, który las otaczał z trzech stron dokola, widać było małe obozowisko cygańskie całe w cieniach, ogrzane tylko jednym namiotem ogniskiem.

Na tle jasnego dynu i płomieni, czarne jakieś postacie snuły się jak widma: to zasłaniając ogień, to usuwając się z przed niego. Część lasu bliższa, w blaskach ognistych stojąca, cudnie malowała się na czarnej głębi boru. Każda gałąź jakby złotem oblana wyskakiwać się zdawała, w tysiącznych kształtach wyginając się i drobnymi migocząc listkami...

Ale Tumry nic nie widział, i przyspieszonym, w miarę zbliżania się swego do szatry, lecąc biegiem, jak piorun wpadł pod namiot cyganów.

Stanął przed ogniem, zdawał się przebudzać, krzyknął przeraźliwie, cofnął i padł nieprzytomny o ziemię, jak drzewo wiatrem zwalone.

Od wyjścia swego ze Stawiska, gromadka którą dowodził Aprasz, przewędrowała wielki kawał kraju i rozmaitych doznała losów; może przypadek, może wola Azy przygnała ją znowu w te strony. Młode dziewczę umiało tak sterować wszystkimi, że choć pozornie stary cygan przewodził, ona w istocie i nim i bandą kierowała.

Któż tam wie, co się działo w sercu dzikiego dziewczęcia? Dość, że zwrócili się cyganie ku Stawisku. Czy chciała zobaczyć Adama, czy ciekawą była wiedzieć

co się stało z Tumrym.

Po jego ucieczce, po wyjściu ze Stawiska, Aza zmieniła się bardzo; została jej dawna żywność, ale nciekla wesołość. Pobyt we dworze nauczył ją tęsknić za strojem i zbytkiem, których raz skosztowała.

Źle jej już było w łańchmanach dawnych, w *gal'i* (koszuli) grubej, w *urakhu* (płaszczu) z prostego *hasyku* (sukna), chciała białej *pochty* (plótna), i krasnej *bucaki*, i świecideł, z któremi jej przy czarnych włosach i czarnych oczach tak było do twarzy!

Umiała jeszcze z niczego stworzyć ubranie, przyodziać się prostą *plastą* (kołdrą) do kibici, przybrać polnemi kwiatkami, i czystością zastąpić wytworność; ale wzdychała za jedwabiami, których tyle rzuciła we dworze Adama.

Często też, częściej niżliby chciał Aprasz, któremu wspomnienie zbiega napelniało krwią źrenice, Tumry przychodził na jej myśl i usta; mówiła o nim na przekor *dulos'owi* (ojcu, bo tak zwano Aprasza) i nie zapomniła do końca; owszem zdawało się, że im był dalej, tem częściej i niespokójniej wymawiała jego imię. Sprzeczała się z cyganem ciągle, gdyż on utrzymywał, że niczem go wstrzymać nie było można; ona, że go odepchnęli srogością obejścia i prześladowania.

Aza jednak klęła się i prorokowała jak cyganka, że ten kto raz błędnego życia taboru ich skosztował, nie wytrzyma przykuty do chaty i roli, i powrócić do nich musi.

— Byleby nas zobaczył, byleby dym ogniska *romów* powąchał, zerwie się choćby z łańcucha i przyleci!!

W podróży powolnej od wsi do wsi, z miasteczka

do miasteczka, cyganie kuli konie, leczyli, wróżyli, zamawiali, a Aza wielka wróżbiarka, wszędzie zwabiała ku szatrom wdziękiem swej twarzy i czarnych oczu urokiem. I jak prawe dziecię Ewy, lubiła, żeby się za nią włókł ten łańcuch niewolników, których jeśli jednym nie zwabiła wejrzeniem, posyłała po nich i drugie i trzecie, i uśmiech w pogoń, i mrugnięcie, i tę obietnicę rozkoszy, która niestety tak często kłamie! Ale nikt nad to wejrzenie, nad ten uśmiech, nad obietnicę nie otrzymał nic więcej; kiedy niewolnik spętany leżał u nóg cyganki, odwracała się od niego ze śmiechem szyderstwa i zemsty. Serce jej było kamienne, a pierś jeszcze się nie poruszyła, wtorując czyjej żądzy, czyjemu błaganiu.

Codzień jej przybywało wdzięków, codzień w tem szatańskim wprawiała się rzemiośle. Stare baby wuczyły ją tańca wyniesionego z Hiszpanji, a śliczna cyganka przy dźwięku prostej drumli, z kawalkiem płótna w ręku, umiała z niego uroczą układać scenę. Rzekłbyś, że skacząc tak sama, w monomimie tym odgrywała cały dramat namiętnej tęsknoty, która leci ku ideałowi niewidzialnemu, zapala się doń, pragnie i rozbija o mgły i tumany! Chwilami miotala się wesoła, swobodna, jak prawdziwe dziecię cygańskie, i uśmiechała się do tego, który gdzieś zakryty stał przed nią; potem taniec jej wolniał, czynił się tęsknym, i znów gwałtowniej nią rzucał, aż wpadła w jakiś szal, w namiętność, która się wysiłkiem i jakby śmiercią pełną pragnień tajemniczych kończyła.

Na ten taniec zbiegali się patrzeć młodzież, starzy i ci nawet, których w początku wiodła prosta ciekawość, których w chwilę potem palila namiętność: a Aza

codzień stając się sławniejszą po miasteczkach, więcej zyskiwała swym tańcem, niż Aprasz młotem i kowadłem. Stare cyganki a osobliwie Jaga, która niedarmo to imię nosiła od ognia (*Jag*), widziały w Azie podpore przyśłości, wróżyły jej wielkie losy, i chodziły koło niej jak koło królowej. Aprasz też, który chmurno, ale gorącym okiem na nią poglądał, stroił ją teraz i pieścił coraz więcej, zwłaszcza od czasu, gdy mu milcząca umarła żona. Biedna ta kobieta jakby czekała, rychło od piersi jej odpadnie ostatnie dziecko; gdy z kolan zeszło i uścisku matki nie potrzebowało do życia — pochyliła się, i milcząca, bez jęku, jak żyła umarła. W włóczędzie schwyciła ją śmierć na rozdrożu w smutnym lesie sosnowym, i cygan tam ją pochował, narzuciwszy mogiłę suchemi gałęziami. Nie widać było żalu ani w nim, ani w dzieciach, więcej zdziwionych jak zasmuconych stratą matki, ani w starych kobietach i reszcie taboru, do którego nie zdawała się należeć, bo ją zawsze *gdzią* (obcą) nazywano, choć długie z nimi przebyła lata.

Szeptaly baby kładnąc ją do mogiły niezrozumiale słowa, mruczał coś Aprasz, który ją w ziemi składał szeroką obwinawszy płachtą, ale ani jedna łza nie pociekła z oczu cygana. Tylko dziecko najmłodsze nadszedło nad grób, widząc, że ją weń spuszczano, wyciągnęło rączki ku zimnemu trupowi, pochyliło się i upadło na piersi, której bicia już wskrzesić nie mogło. Aprasz rzucił się za niem, wyciągnął, oćwiczyl, i w krótkce ziemia przykryła zwłoki nieszczęśliwej.

Po śmierci jej zdawało się, że Aprasz zapragnie za żonę wziąć Azę; w kilka miesięcy powiedział jej nawet wolę swoją, ale się naśmiała i potrząsa głową dumnie.

— Co ci to rzekła — czyś szalony *dados*? A toż-

bym ja twoją *ciąj* (córką) być mogła, a ty ojcem moim! Tyś stary, ja młoda, i nie mam ochoty być *dają* (matką) cyganów i niewolnicą mężczyzny!..

— Widzisz — odparł Aprasz chmurno, — że nie mam ktoby mi był żoną.

— Weź jaką starą niewiastę: dosyć ci jej będzie dla dzieci, a dla ciebie aż nadto!

— Azo! ty wiesz, że ja szyderstwa nie lubię.

— A ja szydę — odparła dziewczyna śmiejąc się i białe ukazując mu ząbki — boś zasłużył na śmiech! Wyrwij sobie garść włosów i policz w nich siwe: znajdziesz więcej ich w jednej ręce, niż ja lat przeżyłam; przystałoż, bym była twoją?

Kilka razy jeszcze Aprasz napadał ją z tem żądaniem, ale go zawsze odparła w ten sposób; a stare kobiety, jej przyjaciółki, pilnowały ją dobrze od przemocy, i gdy przyszło do walki, krzykiem przynajmniej stronę jej trzymały. Aprasz złościł się i zływał, i groził, ale poradzić nic nie mógł. Postrzegł, że Aza wiedzie go ku Stawisku, w stronę, w której wspomnienie pana Adama i młodego Tumrego ją pociągało; wściekał się zrozumiawszy jej myśl, ale sam przeciwko całej gromadzie, którą zawładła dziewczyna, choć dowódca nie nie mógł.

W miarę jak się zbliżali do wioski, Aza spoważniała, zadumała się, a strój jej dowodził, że chciała być piękną; czy dla pana Adama, czy dla Tumrego cygana? — nikt nie wiedział. Aprasz jej groził, ona się śmiała.

Doszli wreszcie do Stawiska nocą prawie, a cyganka chciała, by obóz rozłożyli w znajomem miejscu na łągu: ale *dados* się oparł, i w pustkowiu na dolinie za-

stanowił *werden* (wóz) i namiot rozbił.

Aza chciała zaraz lecieć do wioski, Aprasz rzucił się do niej z toporem i pogroził jej straszliwie, jeźliby się krokiem ruszyła. Stare baby z Jagą na czele powstały wszystkie na dowódcę, wrzask stał się niezmierny, bo aż do dzieci, cała banda słuchala więcej Azy niż jego, i przerażony kowal uległ przemocy, bo topór z rąk mu wypadł, a dziewczyna wzgardliwem zmierzwszy go wejrzeniem, zawolała:

— Nie pójdę, bo nie chcę; pójdę, gdy mi się spodoba! Słyszysz Aprasz! nie boję się ani twych groźb ani topora, ani guiewu; a od dziś dnia tyś mi nie *lados*, ja ci nie *ciaj*; my obey! Idź jeśli chcesz i gdzie chcesz, moi mnie nie porzuca.

Cygan zaciął usta, błysnęło mu oko czarne na białku, zamilkł i ustąpił.

Co się tam działo w sercu zrzuconego z panowania wodza, którego władzy ostatnia wybiła godzina z ostatnią nadzieją, to tylko jedna może wiedziała Aza, bo go lepiej знаła od innych. Cały wieczór nieruchomy przesiedział przy ognisku, nie mówiąc słowa, nie dając rozkazów, w postaci jednego z tych królów zwyciężonych, jakich nam stare wystawiają rzeźby w wykopaliskach grodów Azji i Egiptu. Byłby skonał w tej męczarni, gdyby boleść taka zabić mogła; ale ona dręczy, a żywi i dobywa życie z człowieka, by cierpieć.

Aza wzięła rządy nad gromadą nie zważając na nikogo; ona rozstawiła wóz, ludzi, sprzęty, rozdala wierzce, i jak na wzgardę misej strawy z okrajcem chleba kazała postawić przed tym, któremu dotąd pierwszy kęs i pierwsze należało miejsce. Cyganie zdawali się nie zważać nawet na wczorajszego wodza, i jak chorego

Iwa, każdy z nich jeżeli nie nogą, to słowem bolesnem potrząsal; bo Aprasz b-zsilny, zwyciężony, od tej chwili wodzem być już przestał.

Właśnie o krok od siedzącego na zwalisku swej potęgi Aprasza, oblakany, senny, padł Tumry, łoskotem upadku swego przestraszając bandę całą.

Aza, która czuwała, chwyciła zapaloną gałąź z ogniska, i przybiegła pierwsza zobaczyć co się stało. Zdawało się, że przeczuła Tumrego, że się go spodziewała: tak zwycięsko spojrziała na twarz jego bladą, martwą, wychudłą, oświeconą płonącą galezią sośniny.

— Tak! to on! — zawołała dziwnym głosem — wiedziałam że to on być musi. Ciągnęłam go tu i przyciągnąć musiałam, Ale trup! ale martwiec i upiór! A! a! — dodała zlewając twarz jego przyniesioną przez Jagę wodą z kociołka — cóż mi z niego zrobili *gadziorie*, i ta jasnowłosa *egazsi*, dla której *romów* i ich życie porzucił! Na twarzy znać co wycierpiał! Biedny Tumry! zestarzał, zużędniał, nawpół umarł i zamęczył się.

Tumry w tej chwili otworzył oczy, podniósł się na łokciu, i zdziwionym wzrokiem powiódł po otaczających go postaciach, gorące oko topiące w pięknej dziewczynie, która z uśmiechem litości stała nad nim w blaskach swej pochodni, jak nieziemskie zjawisko. To widzenie wydawało mu się jeszcze dalszym snu jego ciągiem.

— Gdzie ja jestem? — spytał schrzyplym od znużenia głosem, spozierając na *romów* i na skrwawione piersi, ręce i nogi swoje — nie jestem w chacie pod

cmentarzem, gdzieś się spać położył? Gdzież Motruna? kto mnie tu przeniósł! Czy to życie snem tylko było?

— Wszystko sen! odpowiedziała cyganka, podając mu kubek wody. — Pij, orzeźwij się i bądź pozdrowiony z powrotem pod szatrę naszą! Spróbowałeś życia *gadzior*, serca ich, szczęścia: powiedz, czy ci lepiej było z nimi jak z nami?

— Ale to sen! to sen chyba! — trąc oczy począł Tumry. — Prawda! Janek mi wczoraj prawił o cyganach; cały wieczór rwałem się, aby pójść ich zobaczyć, ale nie spać układał w chacie: jakaż mię tu siła przyniosła?

— Siła, która ptaka pędzi do gniazda, a zwierzę do jamy — odparła śmiejąc się Aza — a ktoś zna tę siłę, która mocniejszą jest od nas? a która władza nie tylko ciałem, ale i duchem, i pcha choćby na śmierć?

Tumry patrzył i opamiętywał się powoli.

— Gdzież Aprasz — spytał — gdzie jego żona.

— Żona jego spi na rozdrożu — odparła Jaga.

— A Aprasz spi u ogniska — rozśmiała się Aza — bo od dziś przestał być wodzem naszym! Podniósł rękę na mnie i upadł! Patrz — odsuwając się i odsłaniając siedzącego, dodała dziewczyna — oto Aprasz, który mnie, mnie chciał mieć swoją żoną i niewolnicą! Skłóć mu głowę lub pluń na niego, jak chcesz, a nie ci już nie zrobi, bo przestał być silnym!

W tem stary wódz chwycił się, ukłóty słowem, od ognia, i porwawszy topór leżący na ziemi, z wściekłością rzucił się na Azę; ale nim ją mógł ugodzić, Tumry zerwał się na niego, w pół go objął i powalił, a nadeptawszy nogą gardło, wyrwał mu z rąk siekiere.

Ich oczy spotkały się z sobą i starły wejrzeniem

krwawem, a Aprasz zaryczał i dłoń spuścił i źrenicę.

— Tak! — rzekł głucho — jam już bezsilny! Nie panować mi nad wami, ale iść za wozem waszym i słuchać! Puszczej Tumry, na *Mroden-oro* (Boga), na *Mutes-oro* (śmierć), na *Nasua oro* (chorobę), *giues-oro* (śmierć), na *rat-oro* (noc) klnę się, nie wam złego nie zrobię; puść mnie niewolnika.

Ale Aza przypadła ku upadłemu wołając:

— Powtórz! jeszcze raz powtórz przysięgę, i dzie-
sięćkroć ja powtórz, zanim ci uwierze!

Aprasz poczał powtarzać posłuszny.

— Odbierzcie mu *toroz* (siekiere) — zakrzyzczała — i *ezuria* (uó!) i odtąd niech ich nie ma w ręku! Dziękuję ci Tumry — dodała — puść go: winuam ci życie. Wielki *Mroten-oro* przyprowadził cię tu na skrzydłach tęsknicy umyślnie, żebyś mnie uratował! Siadaj i grzej się u znajomego ogniska, i mów, coś przeboleł, bo żeś nie był szczęśliwy, mówi to blada *busta* twoja (twarz).

— A! a! odparł Tumry wspierając się na wywróconym miechu kowalskim, na który spoglądał jakby starego witał przyjaciela — nie ma co mówić o szczęściu i doli mojej. Próżno kto od niej ucieka! *Gudziowie* zjedli mnie i żonę, powoluem prześladowaniem ogryzając kości, i odstąpili odemnie jak od trupa, a ja walczyłem z nimi. Umarł ojciec Motruny, powiodłem go okiem na cmentarz; musieli mi oddać dziewczynę, ale żyłem niedzą moją i ich złością: bo prócz jednego, nikt z nich twarzy nie zwrócił ku mnie!

— A bia'aż *egasz* twoja? — spytała Aza.

— *Egazi* kochała mnie i kocha — rzekł Tumry — ale cóż miłość o głodzie i w niewoli? Dom mój był dla mnie trumną i grobem, tak mi w nim duszno i

teśkno i ciasno; oko zawsze jednym karmilem widokiem cementarza, mogił i nagiego wzgórza...

— Ale was było dwoje?

— Troje z nędzą, czworo z głodem! — śmiejąc się dziko rzekł Tumry — pięcioro z poczcwym Jankiem.

— Znalazł się ktoś przecie poczcwy?

— Ale wy — przerwał Tumry — cóż z wami się działo? gdzieście byli, co was przyгнаło tu znowu, na szczęście czy nieszczęście moje?

— Ja! — zawołała Aza — chciałam zobaczyć co się z tobą dzieje. Aprasz się sprzeciwiał, ale usłuchać mnie musiał! Życie szło jak idzie życie: dzień do dnia niepodobny, a z daleka bracia rodzeni! Palilo się kowadło, sapaly miechy, pracowały ręce, a Aza śpiewała i skakała *gadziom za łowy!* pieniądze. I ot, widzisz, przyszliliśmy tu wreszcie może umyślnie po ciebie, a może do młodego *Raj'a* Adama.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

— Co robi *Raj* Adam? — spytała — czy zawsze życie mu tak długie, a młodość tak ciężka do dźwignia?

— Nie wiem — cicho odpowiedział Tumry. — *Raj* ożenił się był z jakąś *gaulzią*, mówią, że go zwodziła z drugim...

— A cóż miała robić biedna! — rozśmiała się Aza — musiała!

— Pojechali gdzieś daleko po zdrowie dla niego, po wesele dla siebie, a *rani* (pani) tam umarła.

— Umarła! o, jakże dobrze zrobiła! — zawołała kłaskając w ręce Aza — znowu go męczyć będę! We dworze więc pusto?

— On sam tylko!

— Co powie zobaczywszy starą znajemę! — poczęła Aza, śmiejąc się do swej myśli. — Jutro, nie dalej jak jutro, przystroję się jak *rani*, i polecę do niego!

Spojrzała na Tumrego; on chmurny obracał w rękę zagasłą głośnie i milczał.

— Pójdę go męczyć — powtórzyła — i śmiać się! A! żebyś wiedział Tumry, ilem to ja już *gadziów* miała: choć brać garściami! A co mi ofiarowali, a jak się modlili do mnie! Było ich widzieć gdy lecieli za Azą jak gromada *szukelów* brzęcząc pieniędzmi i obietnicami! Gdym widziała, że który z nich poddać się nie chce i patrzy na mnie chłodno, tom póty palila go, pociągala, czarowała, ażem za sobą powiodła! O! miałamże miałam rozkoszy, gdy wywiodłszy ich daleko, rzucalam po drodze jak ogryzione kości!...

Coś okrutnego było w mowie cyganki, a jednak taki był urok jej wzroku i głosu, że Tumry drżąc oderwać się od nich nie mógł! patrzył, słuchał i spragniony długą żądzą, nasycić się nie mógł.

Piękną bo była przy ognisku, a świeże zwycięstwo okrywało ją jeszcze powagą jakąś i siłą nową! Tumry nigdy jej taką nie widział.

— Ale mówno mi o sobie — zbliżając się i łagodniejąc, odezwala się Aza, — o swej *bukuni* (dcmku), o *egaszi* (żonie), o życiu!

— Wszystkom ci powiedział — smutnie rzekł i pozwoli cygan. — *Egaszi* dobra i pocziwa, ale jej tęskno za swymi, których nie widzi, jak mnie za *male* (polem) i namiotem! Placze i placze biedna! *Bukunia* moja, którą krwią i potem zlepiłem, wygnanka, jak my za siołem stoi na pustkowiu i patrzy się w państwo *Mutesoro*, na cmentarzysko *gadziów*. Ciasno w niej, głodno,

zimno i pusto...

— A nie kwilił w niej dziecko? — spytała zamyślona Aza.

— Nie — odparł Tumry — ale kto wie, kiedy się ten głos z drugiego świata pierwszy raz da słyszeć? dziś, jutro może.

— Dziś! jutro! toś przepadł! — odpowiedziała cyganka. — Niechno zapłacze dziecina, a uwieźniesz tam na zawsze przy swojej bladej *egaszi*, i zeschniesz w pracy i utrapieniu!

Skinęła ręką.

— Idź skazany — rzekła — jużes ty nie nasz! Idź! idź! nie patrz na swobodę, nie kosztuj powietrza pod namiotem: tobie zgnić pod dachem uwiązanemu do słupa! Tyś niewolnik! tyś *gadzio*.

Wymówiła to przekleństwo bez gniewu, z litością raczej: ale Tumry uczuł je w głębi piersi, jak przepowiednię nie odwołaną. Spuścił głowę, powoli podniósł się z ziemi, potoczył wzrokiem dokoła, jakby ich żegnał, i raz jeszcze spojrzał na Azę.

— Idź! — rzekła dziewczyna — idź do *khera* (domu), blada *egaszi* cię czeka! Niech ci się serce nie drze na widok *Romów*, bo do nich wrócić nie możesz!!...

Otrzeźwiony, osłabły Tumry powracał mozolnie i powoli tą samą drogą, którą we śnie przebył tak żywo i łatwo. Zranione nogi ledwie go wlokły, ciężka głowa ołowiem spadła mu z karku, serce to było stem młotów, to przestając uderzać milkło w piersi, jakby na wieki spocząć chciało.

Dziwił się, że tak ogromną przebiegł przestrzeń, która w powrocie wydawała mu się nieprzebytą, nie-skończoną; wyglądał drogi i błakał się, i znaleźć jej nie mógł; kiedy niekiedy odwracał się, by spojrzeć na ognisko, przy którym zostawił Ażę, to znów znużonem okiem szukał swej chaty, cmentarza, wioski i z trudem ścieżki rozpoznawać musiał.

Była to chwila uroczysta, gdy noc ze dniem się łamie, ciemność poczyna walkę ze światłem, śmierć codzienna ustępuje życiu; bladły niebieskie ognie, i księżyc nawet coraz srebrzystszym się zdawał, gwiazdy uchodziły po jednej w niebieskie głębie eterów, chmury nocne zapadały z jednej strony, a ranne kupiły się z drugiej; ptaki, pierwsi stróże żywota ziemi, poczynały śpiewać zmartwychwstanie.

I drzewa i kwiaty budziły się także barwami, które noc ciemna uspiła, a dzień rozpowyjał dla oczu; niektórych kielichy już piły rosę spragnione, inne gnuśniejsze, w powijakach jeszcze, cieplejszej czekały godziny. A cisza była długa, przerywana tylko pieśnią rannego ptaszka i nie śpiących kruków i szumem porannej modlitwy lasów...

Tumry szedł i zataczał się: ani różowy blask wschodu, ani srebrne jasności ustępującej mu nocy, nie roztworzyły jego źrenicy umarłej... Nareszcie zobaczył czarne krzyże mogił, chude wierzby cmentarza, żółty grób Lepiuka i niski komini swej chaty.

Przyspieszył kroku. — Co się tam dzieje z Motruną, zawołał w duchu, jeżeli postrzegła, że poszedłem? A! żał mi jej, żał, ale na cóż pokochała cygana?

I minął cmentarz drżący, spiesząc do drzwi lepianki. Na progu nie było Motruny... tylko głos dziwny, nie-

pojęty, uderzył jego ucho. Nie był to głos zwierzęcia, ani człowieka, ani ducha, nie był to skrzyp drzewa, ani świergot ptaka, ale wołanie niezrozumiałe, płaczliwe, jakby wzywające litości, w którego głębi słychać było mowę ludzką i jeki zwierzęcia i łyż człowiecze.

Wszedł na próg i pierwszem co zobaczył, była naga kwiląca dziecina, która leżała przy Motrunie na ziemi. Biedna kobieta tuliła ją ku sobie płacząc, nie pamiętna na boleść swoją, cała już matką tylko!

W progu wartował głupi Janek, który dał wnijsć cyganowi, dał mu się zbliżyć do żony i pokłęknąć u jej barłogu: ale gdy Tumry wybiegł po chwili odetchnąć i oprzytomnieć, poczwarka zjawila się na przeciw niego.

Zdziwił się Tumry nie widząc na jego twarzy zwykłego wyrazu litości i uczucia, ale chmurny gniew jakiś i groźbę.

— Co ci Janku? — spytał, z potu ocierając czoło.

— Co ci cyganie przeklęty! — podchwycił karzeł pięść ściskając — gdzieś ty był w nocy włóczęgo, gdy żona jęczała wzywając twojej pomocy, a choćby twarzy twojej!

— Nie wiem co się działo ze mną!

— Ale ja wiem — zawołał Janek — szatan cię upętał djabli synu: chodziłeś na tańce z czarownicami!

— Łaj mnie — rzekł Tumry — ale spytaj Motruny czym winien, czym poszedł o swojej woli, przytomny?

Janek popatrzał nań surowo.

— Ej strzeż się cyganie — rzekł — małym ja człeczce, ale jak Bóg Bogiem, jak psa cię zabiję, jeżeli żony¹ dziecka pilnować nie będziesz!

Tumry uśmiechnął się szydersko i wzgardliwie.

— Janku! — rzekł, tobież to mnie grozić?

— E! i robak kasa śmiertelnic! — zawołał maly — i ja potrafię choćby robakiem być tobie.

To mówiąc zniknął biegnąc ku wsi, a Tumry wrócił do chaty.

Serce mu się ścisnęło na widok biednej kobiety, której czoło pot śmiertelny, a twarz bladość okrywała trupia. Spoglądając na niego, jakby błagała o litość dla siebie i dziecięcia, uczuł się winnym choć nie wiedział, jaka siła pchnęła go do grzechu i przykląkł ułoża.

— Co się stało? jak to było? — spytał, ja nie odszedłem od ciebie własną wolą!

— Czarownica cię widać pociągnęła — odpowiedziała słabym głosem Motruna. — Kiedyś spał, zerwałeś się, pobiegłeś, chciałam iść za tobą i upadłam... Nie wiem co się działo ze mną i kiedy mi Bóg dał dziecię... Otworzywszy oczy, spostrzegłam w progu poczciwego Janka, który mnie widać od drzwi przeniósł na łóżko...

Tumry spoglądał na kwilące niemowlę i myśl jego przebiegała cały szereg ciężarów i obowiązków, jakie dla niego na świat przyszły z tem dziecięciem... We dwojgu ledwie żyć mogli: — troje umrzeć musieli... Potrzeba było pomocy osłabłej Motrunie, pokarmów dla niej, pieluch dziecinic, sługi w chacie i chleba! chleba! chleba!

Tumry zarabiając nań, musiał opuścić żonę samą, a nie było jej komu dopomódz w pierwszych dniach słabości.

Chwycił się cygan za głowę.

— Nie ma rady — rzekł głośno — ze wsi nikt nam posłużyć nie zechce, ja sam nie podolam wszystkiemu; pozwól mi pójść i zawołać Jagi cyganki.

Na te słowa Motruna porwała się i dziecię przytuliła

do siebie.

— Cyganki! — zawołała — o! nie chcę, nie chcę! obejdzimy się bez pomocy niczyjej... Oniby mnie struli, oniby mi dziecko porwali.

— Tumry ruszył ramionami.

— A tyżes żoną cygana?

— Tak, tak! — rzekła — ale się boję, boję się! Miej litość nademną.

— Ty sama litość miej nad sobą! — zawołał cygan. — Toć pomrzemy, jeśli nam w tych dniach pierwszych ktoś nie pomoże!

— A Janek!

— Ale tu potrzeba kobiety!

— Ja wstanę, ja wstanę — pospiesznie poczęła mówić Motruna.

— To być nie może, kilka dni przeleżeć musisz... A któż tobie i dziecku posłuży, zgotuje; kto cię nauczy jak chodzić koło niego?

Motruna zmilezała, ale na twarzy jej, z ruchów niepokojnych widać było, że bojaźń ją nie opuściła, choć nie wiedziała co począć.

Chciała spróbować czy nie potrafi wstać, i opadła na łóżko jęknąwszy tylko boleśnie.

Tumry siadł przy niej na ziemi, i oczy wlepiwszy w dziecko i matkę, pozostał tak nieruchomy, w niemej jakiejś rozpacz.

W tem drzwi uchylily się powolnie; spojrziała Motruna i zadrżała, widząc straszną twarz starej cyganki, ukazującą się powoli z sieni.

Była to stara Jaga, którą nie wiem, ciekawość czy inne jakie uczucie nagnało w ślady Tumrego. Poczwarna baba, mogąca przestraszyć wyrazem swych czarnych

oczu i śmiejąco się zakłęsłej szczęki. Skóra jej na czarno opalona, włos kruczy rozrzucony w pozlepianych kosmach po czole i twarzy, pomarszczone policzki, uśmiech bezzębny i wejrzenie drapieżnego ptaka, robiły ją ideałem starej wiźmy z baśni ludu! Brudna *gata* (koszula), zdarta *sokha* (spodnica) i narzucona na głowę plachta, stanowiły całe jej ubranie, z pod którego nagie ręce i pierś wyszła wyglądały. Zgarbiona, opierała się na wylamanym w lesie kiju sękatym, którego długie użycie widać było z rozstrzępionego końca.

Wejrzeniem poleciała po chacie, i weszła z uśmiechem widząc, że będzie potrzebna. Na widok jej Motruna pochwyciła dziecko i drząc poczęła, a Tumry zerwał się i stanął zdziwiony, że się tak niespodziewanie zjawiała ta właśnie, o której mówił przed chwilą.

Zaledwie nogą na próg wstąpiła, już po cygańsku Jaga obleciała okiem palajacem wszystkie zakątki izby, policzyła garnki, sprzęty, obrachowała stopień nędzy Tumrego i wiedziała co ma i czem żyje.

Powoli jak kot kolując, skradała się do łóżka.

— Stój, — zawolał Tumry po cygańsku do niej — *egaszi* boi się ciebie, drży, płacze; odstęp się ku drzewom.

— A czegoż się boi twoja *gadzia*? — spytała Jaga, siadając u progu na ławie — alboż nie żona cygana, alboż to my nie swoi, a nawet nie krewni?... Jaby jej koło dziecka pomogła. bo ona widzę zacałuje go i zaściska, a poradzić mu nie potrafi... Toć to moje rzeźmiostło... i daj mi *Mroden-oro* tyle lat żyć jeszcze, ilem ja *romów* i *gadziów* dzieci na świat wyprowadziła!

— Nie bój się kochaneczko, — zaczęła po wiejsku ale złamanym językiem, starając się przymilić głos

schrzypły spieszczając, a uśmiech czyniąc łagodnym — a toć to i wielkie panie, i ekonomowe, nawet i szlachcianki, nie jeden raz posługiwały się Jagą! Ja się znam kolo dzieci, a tobie to podobno pierwsze, to je niebożatko zamorzysz z wielkiej miłości.

Powstała chcąc się zbliżyć, ale ruch Motruny rzucającej się do dziecka, oznajmił jej, że żadnej nie przyjęłaby pomocy.

— Sluchaj Jago — rzekł Tumry — możesz inaczej mnie poratować; weź się, rozpal ognia, nastaw wody, zgotuj co... Ona głodna... ja cały dzień pono nie jadłem, i dziecku coś będzie potrzeba...

Starej w to graj, bo bardzo pragnęła zajrzeć po kątach, a gdyby się co trafiło, wyciągnąć po cygańsku; więc na pierwsze słowo zrzuciła z siebie plachtę, postawiła kij w kącie, i zakasała podarte rękawy.

— A gdzie żar? gdzie woda? gdzie spizarnia? Macie mleko?

Tumry uląkł się tylu potrzeb razem...

— Żar... poszukaj w popiele, być musi; i woda? zobacz w wiadrze;... w spizarni niewiele znajdziesz, a mleka! mleka nie mam...

— Jakto! ani kozy nawet? — zapytała cyganka.

— Ani kozy! westchnął Tumry.

— O złyż z ciebie gospodarz! — uśmiechnęła się Jaga rozgarnując popiół, — widać żeś zrzucił skórę *romów* i rozum ich! Żeby też tyle tu siedząc, kozy nie dostać nawet! A włóczy się to tego tyle po polu bezpańskich! mogła się która przybłąkać... Ha! ha! ha! a bałbyś się żeby nie poznali, to ją zaraz było przehandlować na targu... Zły z ciebie gospodarz!

— Cóż tu gotować? — spytała — zkąd ja tu wezmę

przyprawy? a i wody nawet ledwie męty!

— Po wodę pójdę — rzekł Tumry.

— Nie chodź, nie zostawiaj mnie samą — szepnęła Motruna.

— Po wodę i ja schodzę — odezwala się Jaga.

— A wiesz gdzie ona?

— O! uczyć mnie nie trzeba: jużcić dokąd najlepiej ubita ścieżynka, to woda pewnie! A może gdzie kozę lub krowę spotkam, to ją dla was wydoję; dajno garnuszka tylko.

— Jago! będzie bieda! — rzekł Tumry.

— A tak to jej nie ma? — odparła cyganka. — Lepiej z głodu zdychać, czy na szubienicy tańcować? — wszystko jedno! Daj garnuszka.

Stara wychodzić miała, kiedy się zjawił Janek, z mlekiem, chlebem, dzbankiem wody i węzełkiem krup: trochę tylko drzwi uchylił, dary swoje wsunął, słowa nie rzekł i wybiegł nazad pędem.

Jaga pochwyciła wszystko, a węzelek naprzód wetknęła za pazuchę dla siebie, udając, że mleko przelewa aby je zagrzać przedzej. Nikt tego złodziejstwa nie spostrzegł.

Od tego poczęła stara swoją posługę w łopiance Tumrego, w której od tej chwili rozgościła się już śniado, widząc się potrzebną.

Dzień już był jasny na niebie, i słońce dopiekalo, gdy Aza rozporządziwszy wszystko w obozie, i zdawszy dowództwo cyganowi zwanemu *Puza*, bo czuła, że jako kobieta utrzymać się na niem nie potrafi, wybierać się

poczęła do dworu. Puza niemłody już cygan, krepy, mały, brzydki, który dotąd był ofiarą Aprasza i męczennikiem jego, zabierał się teraz oddać za swoje, gdy niespodzianie kolej rozkazywania nań przyszła. Aza wybrała go umyślnie dlatego, bo była pewna, że dojrzy i uciśnie nieprzyjaciela.

Gromada chętnie się zgodziła na wskazanego jej nowego *dados* (ojca) i poszła pod jego rozkazy, a Aprasza nie pytano o wolę.

Młoda cyganka weszła do namiotu i rozpoczęła strói nie bez wielkiego namysłu i rachuby. Wybrała co miała najpiękniejszego, najświetniejszego, w czem czuła że jej było najlepiej, i skąpawszy się całą w krynicy, utrefiwszy kosę czarną, której ogrom ledwie głowa dźwignąć mogła, wdziała koszulę perkalową naszywaną, kilka na nią sznurów koralu i bursztynów, spódnice w kwiaty, fartuch jedwabny, kaftan czerwony szyty, na wierzch narzucając rańtuch cienki, który ufaldować umiała z instynktem artystki.

Białe płótna i krasne farby ubrania, dziwnie podnosiły wdzięk jej twarzy opalonej, ale świeżej i rumianej, wśród której zęby i białka jak śnieg błyskały. Z pod czarnych rzęs długich, gdy ognistem rzuciła okiem w potluczone zwierciadelko, uśmiech przeleciał po jej ustach...

— Zginiesz *Raj'u*, zginiesz w tych oczach! — zawołała w duchu — spalę cię na węgiel! o! spalę; żebyś był kamieniem to zapłaczesz!

— Czemuż mi tak słodkie lzy ludzkie? — poczęła się pytać siebie zadumana — nie wiem; ale kiedy je spostrzeżę, gdy jek posłyszę, to tak mi się chce mordować i męczyć, zabijać i nękać, jak dzikiemu zwierzęciu!

A jednak, jednak — odpowiedziała sobie w duchu — gdyby mi tak Tumry zaplakał, zajęczał, poleciałabym może ratować go i bić się z tymi co mu łyzy wycisnęli! Tumry! Tumry! Ale to już nie cygan: błądą *egazzi* pokochał, a Aza mu nie miła. Wczoraj przecie przyleciał! O! i patrzył na mnie! a jak obronił od Aprasza! a jak zdawał się spragniony!... Nie! nie! — potrząsa głową. — Tumry przepadł... pójdę męczyć *Raj'a* Adama!

I raz jeszcze wejrząwszy w zwierciadelko, śliczna Aza wyleciała z namiętności, a wszystkie stare cyganki widząc ją tak wystrojoną i piękną, uśmiechały się złośliwie, bo wiedziały, co to znaczy, i Aprasz ujrząwszy zdala odchodzącą złyma się, a usta zagryzł do krwi.

Sama jedna młoda dziewczyna puściła się ku wiosce, znając dobrze którąś od niej do dworu; a szła jak cyganka, nie powolnym chodem *galziór*, ale tym polotnym biegiem włóczęgów, których życie upływa na nogach, w wiekniestej wędrówce. Pochyliła naprzód, z rąbkiem którym wiatr powiewał daleko, zdawała się lecieć bardziej niżeli iść po ziemi.

Oko wlepiała w niebo, jedną ręką ujęła koniec zasłony, drugą podniosła fartuch i gwałtownie, nucąc jakąś piosenkę.

Dopadłszy do wsi zatrzymała się nieco, i zdawała się na wpół przypominać, wpół węchem dochodzić drogi, o którą pytać nie potrzebuja cyganie; potem brzegiem stawu, ścieżką ledwie widoznaną, pobiegła przez ogród do dworu.

Pan Adam ledwie przebudzony, siedział w ganku w szlafroku, z długim w ustach cybuchem, gły jak sen, jak widmo, skoczyła na schodki, ze schodków przed niego wystrojona dziewczyna, śmiejąc się do rozpuku.

— Ha! ha! — zawołała, poczynając taniec swój przed nim od najnamiętniejszych skoków — *Raj* Adam tęsknił za Azą, Aza za *Rajem* Adamem, i wróciła do Stawiska! Widzisz, przyszedłam znowu popробować życia z tobą, rzucić ci węgiel za pazuchę i odlecieć jak bociany!...

Niepodobna wyrazić, jak się zmieniła twarz skamieniała młodego człowieka na widok czarodziejki... tak powoli musiał się ożywiać od toku namiętności i geniuszu sławny posąg Pigmeliona! Ostygle oczy poruszyły się, zajaśniały, usta otworzył uśmiech niezwykły, czoło zadrżało jak morze od wiatrów poranka, i pierś żywiej zapagnęła powietrza...

Nareszcie zerwał się i skoczył ku Azie.

— A! to ty! czyż to być może?

— Ot! ja, ja! paniezu! — odpowiedziała, rzucając mu się wprost na szyję dziewczyna, i paląc go uściskiem szalonym.

— Nie zapomniałeś mnie przecie? nie? a wieleż kochałeś już po mnie?

— Zkądże ty tu?

— Spadłam z obłoków, *balwany* (wiatry) mnie przyniosły... Poprostu zatęskniłam za tobą, kazałam zawrócić *werden*, i napowrót do Stawiska!

— I będziesz moja! — zawołał Adam w uniesieniu.

— Nie! — śmiejąc się i odpychając go zlekka, odpowiedziała Aza — ty moim będziesz *Raj* Adamie! Jam niczyją nie była i nie będę!

A jak jej z tą dumą było do twarzy!?

Nie wiem jak to nazwać zechcecie: czy miłością, czy dziwactwem? To pewna, że właśnie tego rodzaju namiętnej rozrywki potrzebował zużyty Adam, żeby poczuć że żyje jeszcze. Cyganka paliła go oczami, mową,

uściskami, obietnicami, szyderstwem; cierpiał, ale czuł że żyje. Kto inny silniejszy od niego, ale dumniejszy może i więcej panujący nad sobą, byłby Ażę zmusił do zmiany, lub sam ją pierwszy porzucił; on z rozkoszą dawał się męczyć, nie mogąc ani oderwać się od niej, ani przemódz jej szaleństw bezlitosnych. Przeklinał jak szatana, a kochał jak anioła. Aza też dobrze знаła całą siłę swoją: używała i nadużywała. Po długiej włóczędze, po cygańskim życiu smakował jej zbytek, wczas i atmosfera dostatków, która ją otaczała. Czasami zdawała się wśród niej tracić ogień, który w piersi jej palił, zaduma zalegała czoło, usta śmiać się zapominały: nieruchoma siedziała godzinami w miękkim posłanin półsenna, półumarła; to znów zrywała się cyganka, błysnęła zębami, oczyma, ustami i rozpoczynała swój taniec namiętny, jak skoki dzikich ludów.

Ale w obudwu zarówno usposobieniach ducha, odpychała Adama, nielitościwemu chłoszcząc go szyderstwem: raz ze wzgardą poważną, to znów z wesołością trzpiotowała.

— Jak ja mogę kochać ciebie — pytała go — powiedz sam: jest ło dwoje ludzi mniej do siebie podobnych? Jam dziki zwierz pustyni! ty dziecko zapiecka wymokłe, zbladłe, chude i bezsilne. Jeden mój uścisk zgniótlby ciebie, jeden pocałunek by cię spalił; a w pierwszej kłótni, która z każdej miłości jak para z wrzątku wyrasta, jabym cię zabiła jeżli nie ręką to słowem!

Upokorzony pan Adam milczał, szczęśliwy jeszcze, że mógł u nog jej leżeć i patrzeć w te oczy, nad które wymowniejszych nie widział w życiu...

Cyganka zwykle wa dnie dowiadywała się do obozowiska swego, które teraz rozłożyło się na odlogu bli-

żej wioski i zostawało pod opieką dworu, a więc bezkarnie maciło spokój chłopów, lub rozsypywało się po okolicy; a na resztę dnia i nocy wracała ze starą cyganką do pana Adama. Choć droga nie wiodła ją tędy, Aza codzień prawie przechodziła około chaty Tumrego, na którą ciekawem rzuciła okiem, jakby nietylko w nią, ale we wewnętrzne życie, które w sobie zamykała, zajrzeć pragnęła. Oczy jej zapalały się naówczas namiętnością, gniewem, zazdrością i nie wiem jakim uczuciem, zlepkiem tysiąca uczuć dziwnych, miotających sercem dzikiego dziewczęcia.

Pierwszy raz tu przyszedłszy stanęła, aby policzyć może, ile dni pracy, znoju i trudów Tumry na swą lichą musiał położyć budowę; pokiwała główką, rzuciła ręką i poszła do dworu. Odtąd codzień prawie przelatywała około cmentarza i chaty, ale wejść do niej nie śmiała, choć uchem i okiem śledziła co się tam działo. Ani Tumry, ani nikt jej tam nie spotkał.

Dni leciały piorunem we dworze, ale powolnie wlokły się w chacie kowala. Motruna leżała zesłabła z dzieckiem, którego obawiała się od piersi puścić, oka nawet do snu zmrużyć ze strachu nie mogąc. Stara Jaga przerażała ją swoim uśmiechem, usłużnością i wzrokiem, w którym dziecko wsi przeczuwało skrytego nieprzyjaciela.

Napróżno prosiła Tumrego, aby ją oddalił; jemu lżej było ze starą cyganką, i śmiał się z próżnych strachów żony.

Od nocnego widzenia się w dolinie, Tumry nie spotkał jeszcze Azy; dowiedział się tylko od Jagi, że była we dworze. Zadrżały mu usta i pobladł, gdy to usłyszał; ale więcej nie spytał nawet o nią.

Sama też stara cyganica co dzień niemal donosiła niepytana o dziwach życia dziewczyny, w której pan dworu zakochał się, jak mówiła, na dobre.

— Mówią — dodawała — że gdyby tylko chciała, pewnoby się z nią ożenił; ale głupia *Rahlora* (dziewczyna) śmieje się z niego, poniewiera, i ani myśli o nim! O głupiaż, głupia! — szeptała — gdyby inna była na jej miejscu, cobyto skorzystać można! Prawda, że *Raj* blady, nędzny, bezsilny, ale czyżto z niu żyć zawsze?

I takim uśmiechem kończyła swe narzekanie, jakby mu chciała podać kubek trucizny. Straszna bo była istotą ta Jaga! rodzajem kościotrupa dusznego, w którym ze wszystkiego co ludzkie, sama chciwość i lakomstwo pozostały. Wprawdzie zawsze prawie starość przybiera te dwie cechy wieku, w którym tętui jeszcze miłość własna, co wprzód służyła za jądro innych, przystojniej odzianych namiętności; ale gdy uago i bezwstydnie wystąpi w zesłabłym i schorzałym człowieku u schyłku życia, skąpstwo, pragnienie nienasycone i chciwość — czynią zeń poczwarę obrzydłą. W starej cygance wszystko już było zgasło: uczucie, przywiązanie, czułość wszelka i pamięć; a że ją nędza chłostała życie całe, chciwość dziwna, zwierzęca, rozpasana, wzmogła się w niej do najwyższego stopnia. Chwytać, chować, zabierać, stało się jedyną namiętnością Jagi, która kradła instynktowo, machinalnie, co tylko w ręce jej wpadło. U Tumrego nawet, wśród nędzy codzień widoczniejszej, nie mogła się powstrzymać od kradzieży tego, czego ani schować, ani zabrać nie umiała; a w obozie codzień jej coś wytrząsano z węzełków i smagano nieszczęśliwą, która nazajutrz rozpoczynała na nowo. Nie dziwnymy się starej Jadze: w naszym świecie ilużto starców zbiera,

dusi, chwyta jak ona; ilu innych wykształceńszych obraca ten popęd w jakąś manję kolekcji, w zapalczywą chęć pieniędzy i mienia?

Tumry nie zważał na szkody jakie mu wyrządzała cyganka, rad, że z nią trochę w chacie lżej było, zresztą nie widział wcale co się koło niego działo, i w smutku jakimś zatopiony, chmurny, zamyślony, zmęczony, całe dni spędzał na ławie przeciw łoża Motruny.

Kuźnia jego była gotową, ale nikt nie przychodził, choć pod namiotem cyganów kowadło milczało także; ludzie szli do wsi sąsiednich, a żaden nie zaślądził pod cmentarz. Od dni kilku, gdyby nie Janek i niewyczerpana pomoc jego, uboga jak on, ale ciągła, jużby jeść co nie było w chacie. A tu na głód i nędzę przybyła trzecia istota jeszcze, której wyschła piersią Motruna wykarmić nie mogła.

Tumry chciał iść do dworu, ale nie śmiał; wahał się, od dnia do dnia zwlekał, a sam siedział z założonymi rękami, czekając, zdaje się, śmierci czy jakiegoś końca z poddaniem się losowi zdrętwiałem.

Aza o wszystkim wiedziała od Jagi, która co dzień chodziła pod namiot i widywała się z dziewczyną; a choć miała czem pomódz Tumremu, nie nie zrobiła dotąd.

— Dobrze mu tak — mówiła przez zęby białe ścinając usta; — chciał białej kobiety i życia gnuśnego w chacie, chciał być *gadziem*, kiedy go Bóg *romem* stworzył, niech cierpi! Życie siedzi głęboko: głód go i ból nie dostanie!

Jednakże przechodząc około cmentarza, co dzień oko jej mglistszem wejrzeniem patrzyło na lepiaukę; i raz, gdy pan Adam u nóg jej po objedzie spoczywał, cze-

kając jaki rodzaj nowej męczarni wymyśli nań dziewczę nielitosne, odezwała się do niego:

— Słuchaj *Raj* Adamie: co wam zrobił cygan Tumry, że u was z głodu umiera?

— Kto? gdzie? — z ciężkością przypominając sobie, zapytał pan Adam.

— Kowal Tumry, co siedzi pod cinentarzem.

— Wszakżem mu dał żonę, krowę i pieniądze — rzekł ziewając pan Adam — czegoż chce więcej?

— A ludzie twoi go prześladują: nie ma roboty, odpychają go wszyscy, siostry i bracia zaparli się ich! Czyżbyś ty nie mógł rozkazać, żeby było inaczej?

— Rozkazać ludziom żeby kochali? — z uśmiechem zapytał pan domu — samaż mi powiedz czy można?

— Kochać! nie, ale słuchać powinni! Tyś tu pan: alboż ci nie wolno posłać ich do kowala, jak posyłasz gdzieindziej?

— Wolno mi, — rzekł Adam — ale na co się to zda?

— Spróbuj!

— Chcesz, spróbuję! — odparł młody człowiek i rozkazał nazajutrz przywołać gromadę.

Rzadka to była rzecz rozmowa tego pawa z czeladką i ludźmi. Powolny i łagodny do zbytku przez lenistwo więcej niż dobroć istotną, nie wdawał się wcale w to, co się działo u niego, i nawet w dni uroczyste przyjęcia gromady, rzadko się słowem do niej odezwał.

Rozeszła się więc wieść zwołania starszyny po siole, jak nowina niezwykajna; a Maksym Lach, Skorobohaty i Symiacha, stojący na czele starszyny, łatwo odgadli o co iść miało. Wieczorem po zapowiedzi atamana, skupili się w tyle za karczmą dla narady.

— To nic — rzekł Maksym — to pewnie cygańska

sprawa. Ten czort cyganica w oko mu wpadła : będzie prosił za kowalem...

— O ho ! — parsknął gniewnie Skorobohaty, podnosząc rękę do góry — z tego nic nie będzie : pamiętam ja słowa nieboszczyka Lepiuka ! Toć i wstyd całej wiosce zrobił ten przybłęda, że nam z przed nosa wziął dziewczkę, i gromada się zarzekła, że go zmusi pójść precz.

— A taki to dobry kowal — mruknął Symiacha, kręcąc głową : — bywało w Rudni, jak przyjdiesz czy z radłem, czy z podoskiem, czy z kosą, czy z siekierą, to nie ma roboty, jak kiedy on stanie do młota. Już ja to doświadczyłem, że i mocno i sumiennie robi, i taki majster z niego dobry.

— A co to on jeden na świecie ? — począł Skorobohaty — żyliśmy dotąd bez niego, pożyjemy i dalej : gromada swoją cześć i słowo powinna strzymać.

— A jak pan każe ? — spytał Lach.

— Alboż to do karczmy czy po staremu do młyna, żeby nas pilnowali na bok nie jeździć ! he ? Co to kowal nas w aredę wziął ?

— Jaki z ciebie mędrzec — odparł Lach. — No ! no pamiętajże, weźże się i gadać za gromadę, jak jutro będzie potrzeba.

— Myślicie że nie potrafię ? spytał Skorobohaty — Oj ! oj ! oj ! tyle biedy ; i powiem choć i panu co się patrzy !

— A żeby my tak, ojcie podumali, rozmyślili się — przerwał Maksym — czy warto nabożeństwo świeczki ? Za czyją to duszę pokutujemy, mając majstra pod nosem, chodzimy o milę i więcej ? Komu to złość jeśli nie nam ?

— A gromadzkie słowo ? — spytał Skorobohaty —

a Lepiuk?

— Umarł, pochowany, i święty mu pokój! Na co go z grobu wywlekać.

Na tę rozmowę nadeszło kilku innych gospodarzy i domysły o jutrzejszej gromadzie, to jest zborze do pana, a narady względem odpowiedzi jakaby dać wypadło, jeźliby chciał na kowala namawiać, rozpoczęły się na nowo.

Zdania były dość podzielone, jednakże brat starszy Motruny, a za nim większość ze Skorobohatym, głośno krzyczala, że gromada na swoim postawić powinna. Jak zawsze, choć może muiej było upartych, ale ci co się uparli, krzyczeli głośno, pociągnęli słabych i zagłuszyli nieśmiałych! Maksym Lach nie odważył się odezwać, Filip, brat Motruny, ust nawet nie otworzył.

Można więc było już przeczuwać co się stanie we dworze; bojaźliwsi zamilkną, krzykacze zagłuszą nieśmiałych i zostaną przy swoim uporze.

Zaraz nazajutrz zrana, gromada otoczyła ganek dworu w milczeniu; ale gdy do niej wyjść przyszło, pan Adam tak się wahał, zbierał, męczył samą myślą rozmowy i sprzeczki, że wytrzymał ją do południa w oczekiwaniu. Ze zgasłą fajką wysunął się wreszcie grzecznym ukłonem witając swoich ludzi, którzy z pokorą, w cichości, czekali pańskiego słowa. Nie śmiejąc zrazu napaść z żądaniem, które miał na myśli, począł bąkać o nrodzajach, zasiewach i gospodarstwie, aż wreszcie opamiętał się.

— Sluchajcieno, panowie gromada! — rzekł — za co to prześladowacie biednego cygana kowala, który wam jest potrzebny, a dla jakich tam głupich przesądów używać go nie chcecie? Zbudował chatę, kuźnię, osiadł,

a żywa dusza ani gadać, aui żyć z nim nie chce?

Skorobohaty wystąpił z uklonem.

— Prawdę powiedziawszy panu, myśmy go tu nie zapraszali: siadł, bo chciał... A że gromada postanowiła go nie brać do roboty, to nie bez racji...

— Jakaż racja?

— A córka Lepiuka, którą tak jak gwałtem, przeciw woli ojca, cygan sobie zbałamucił? Albo to nie wstyd dla nas? Pobratał się z nami gwałtem, to my go więcej przypuszczać do siebie nie chcemy. Pozwól kurze grzedy, ona pójdzie wszędy; dalej cyganie nam będą wszystkie dziewczęta zabierać... Toż nie cygańska ojcowizna, Stawisko...

Pan Adam spojrzał na chmurny wyraz twarzy Skorobohatego, i nie wiedział co począć dalej.

— A gdybym ja was za nim prosił? zapytał.

— Lepiej tego nie róbcie — rzekł Skorobohaty — niechaj cygan wynosi się gdzie zechce; świat dla niego szeroki, żony mu nie odbierają...

— Gdybym ja tego żądał! — powtórzył pan.

— I nie żądajcie tego od waszej gromady — zawołał stary — nie powinniście chcieć wstydu naszego.

— Cóż to za wstyd? małoż cyganów pożeniło się i po wsiach osiadło, i pobrali gospodarskie córki.

— Tak! ale za pozwoleniem gospodarzy, a nie przeciw woli ojcowskiej — odparł Skorobohaty, potrząsając głową. — Co złe, to złe!

— Mówcie co chcecie — przebaknął pan Adam — ale nie macie słuszności... Pogniowaliście się, podąsali, czas darować i zapomnieć.

— Lepiuk nie żyje, a on jeden mógł córce przebaczyć; ani gromada, ani bracia nie mają do tego prawa.

Adam widząc upór starego, obrócił się do brata Motruny, który stał na boku, założywszy ręce na piersi, w postawie oznaczającej, że myślał upierać się przy swoim.

— To wy jesteście przyczyną wszystkiego — rzekł — wy namówiliście gromadę, wasza to sprawa stawić się przeciwko dworowi... ale pamiętajcie, że źle wyjdziecie na tem.

— Wola pańska — hardo odpowiedział Maksym — gromada ma swój rozum; niech mówi co chce, a my tu tylko ojcowski rozkaz spełniamy. Chciała Motruna cygana, dwór położył; wszakżeśmy nic nie powiedzieli? ale bratać się z nim nie myślimy..

Pan Adam nie miał dosyć siły, by dłużej spierać się z gromadą: chciał się tylko wywiązać z obietnicy, nie wiele wierząc w skutek słów swoich.

— No! no! — rzekł z pańska i groźniej — nie chcę słuchać waszych przyczyn; dość, że mi się to nie podoba, że prześladowacie biednego. Rozkazuję, żeby mi tego nie było, żeby mi tego nie było!

Powtórzył raz jeszcze i zniknął.

Panowie gromada spojrzeli po sobie z uśmiechem niemal szyderskim; pokłonili się nic nie odpowiedziawszy, i powoli się rozeszli.

Z okna pokoju Aza słuchała tej rozmowy, i widziała postawy ludzi i pawa; a gdy Pan Adam wrócił zmieszany niepowodzeniem swojej wyprawy, poczęła się śmiać na całe gardło.

— O! jakżeś srogi! — zawołała kładąc się na sofie — jakżeś straszny, jak cię się ludzie twoi lękają! Teraz to już pewna jestem, że tłumem pójdą do kowala. Cha! cha! cha! doskonałeś ich zgromił.

Adam się zarumieniał.

— Cóżbo chcesz? — rzekł. — Zrobilem co tylko można, ale to lnd uparty! Zresztą możnaż mu mieć za złe, że w takich rzeczach chce mieć wolę swoją?

Wzgardliwe spojrzenie całą było odpowiedzią cyganki, która wstała, obwinęła się rąbkiem, i nie żegnając pana Adama, wyszła ze dworu.

Według zwyczaju skierowała się ku chacie Tumrego i zbliżywszy do niej, zwolniła nieco kroku. Wzrok jej padł na drzwi lepianki, i wstrzymał się na nich długą chwilę; oczy zaiskrzyły się jakimś gniewem, wyrzutem, pragnieniem. Podeszła i stanęła, zdawała się wahać, wniknąć czy nie; a w tem blady, wynędzniały wyszedł cygan z sieni, i nie widząc jej, wstrzymał się w progu.

Znać było z jego ruchów, z twarzy i postaci, że nie myślał co robił; wyszedł, bo mu może zabrakło powietrza w izbie, i nie miał czem odetchnąć; stał, bo iść dalej nie czuł potrzeby, i wszystko mu jedno było być tu, lub gdzieindziej. Ręce opuszczone bezwładnie, obwisła na piersi głowa, rozczochrany włos na niej, usta w pół otwarte, policzki wybladłe, wzrok zgasły... czyniły go podobnym do chorego, który powstaje z łóżka po ciężkiej i długiej boleści.

Aza niepostrzeżona wlepiała w niego oczy ciekawe, i coś jakby radość i litość razem z nich strzeliło. Podeszła jeszcze kroków kilka, a on nie widział jej jeszcze; wreszcie cień padł na cygana, poczuł, że ktoś się zbliża, i powoli, obojętnie podniósł głowę.

— Tumry! co ci to? — spytała Aza — czyś chory?

— Chory! — odparł cygan.

— Jaga nic mi nie mówiła o twojej chorobie.

— Nie było co mówić o niej — rzekł cygan krótko.

— A możebyśmy co poradzili?

— O! nie — uśmiechając się gorzko, odpowiedział Tumry...

— Nie? dlaczego?

— Dlatego, że to choroba i niechoroba; bo i choroba, i nędza, i głód, i rozpacz, i więcej a więcej jeszcze, niż słowo wypowiedzieć może.

Cyganka rozpoczynając z Tumrym rozmowę, szła powoli ku obozowisku, a on nie wiedząc co począć, machinalnie z głową spuszczoną, odpowiadał jej, i włókł się za nią. Szli tak jedno przy drugim milcząc, to urywanymi słowami przerywając milczenie; i cygan ani się opatrzył, jak chatę daleko za sobą zostawił.

— A żona twoja, a dziecko? — zapytała Aza.

— Jak ja! — rzekł Tumry.

— Cóż z sobą myślicie?

— Co mamy myśleć? myślimy umrzeć.

— Głupstwo! — przerwała cyganka żywo — umrzeć na rozkaz nie potraficie, a rady szukać potrzeba. *Mutesoro* (śmierć) nie przychodzi na zawołanie!

— Nie ma dla nas rady!

— A gdybym ja ci jaką dała?

I spojrzała mu w oczy z zapytaniem.

— Ty!? — uśmiechając się niedowierzliwie odezwał się cygan — o! nie oddawaj czego i sama potrzebujesz; zda się tobie!

— Mnie, rada? na co?

— Boś i ty także jak ja z *gadziemi* się związała, i jak ja wyjdiesz na tem.

— Ja? ja? — zaśmiała się cyganka — cóż ty myślisz Tumry?

— Myślę co widzę, i co myślą wszyscy... żeś także przepadła.

Aza nie przestawiała śmiać się, poruszając ramionami.

— O! wam się zdaje — odezwała się po chwili nie mej niecierpliwości — że Aza tak mięka, tak dobrowolna, tak posłuszna jak wy wszyscy, którym *Mrodenoro* nie dał woli ani ducha; że dość na nią skinać, dość jej cacko lub *łowy* (pieniądze) pokazać, by poszła za kimkolwiek! Cóż z tego, że chodzę do dworu. Dwór mnie dlatego nie spęta: ja jemu, nie on mnie rozkazuje.

— A pan Adam? — spytał wpatrując się w nią Tumry — przecież to twój kochanek!

— Tyle co ty! — odparła dziewczyna.

— Co ja? — ożywiając się rzekł cygan — co ja? A jaż kiedy nim byłem?

— I on nim nie był nigdy!

— Dlaczegoż przesiadujesz u niego, na co go balamucisz?

— Siedzę, bo mi tam dobrze, wygodnie, ciepło, spokojnie, nie głodno! — śmiejąc się poczęła Aza. — I dzień i godzinę jedną ukraść cyganowi od nędzy i biedy swojej — tyle zysku! i to dobre! Możesz-żo i ty myśleć, żeby cyganka jak ja *Ruklora* (dziewczyna) pokochała takie stworzenie jak wasz pan, wymęczone, ledwie żywe, więcej doktora i lekarstwa niż kochanki potrzebujące. Oj! Tumry, nie znasz mnie jeszcze!

— Kiedyś cię znałem — po cichu odezwał się cygan wzdychając — ale któż za was zaręczy i powie co jutro będzie?

— Jabym ci przecie powiedziała co będzie jutro, co zawsze być musi! — przerwała Aza zastanawiając się.

A byli już daleko, w pośród pola, za wioską, sami

jedni; i Tumry tu dopiero się opatrzył, gdy dla niej zastanowić się musiał, że nie wiedząc co czyni, zaszedł za dziewczęciem od chaty, opuszczając samą jedną Motrunę! Obejrzał się zdziwiony.

— Cóż ma być jutro? rzekł z przymuszonym uśmiechem — to co dzisiaj: głód i nędza! Wy pójdziecie wędrować po szerokim *płusie* (ziemi), a ja przykutym umrzeć tu muszę.

— Co za mus? — spytała dziewczyna — możesz pójść z nami.

— Ja z wami? — powtórzył Tumry — a żona?

— Z żoną i dzieckiem kończyła cyganka. — Alboż mało nas tak chodzi? Czegoż tu dłużej czekać będziesz: żeby cię osądzili i powiesili? Z nas jeszcze nikt nie umarł głodową śmiercią, i ty znajdziesz chleba kawałek.

— Ale ona, ona nie zechce!

— Cóż to u was *egazhi* rządzi, nie *dados*? — szydząc zawołała Aza — będziesz słuchał głupiej żony? Poszła za cygana, niech idzie za cyganem: przecież i jej tu nie chcą.

— Nie! — po krótkim namyśle odparł Tumry — ja tego nie zrobię!

I widać było, że skrytego coś utulił w sobię, bo mu się usta zacięły nagle, gdy już, już słowo z nich chciało ulecieć.

— Dlaczego? — napierając spytała cyganka.

— Dlaczego? — chmurne wejrzenie coraz śmielej ku niej podnosząc, odczuwał się Tumry, który ją za rękę pochwycił — dlatego może, że i tybyś szła z nami... słyszysz Aza?!

— Ja? to i ja ci już wrogiem jestem? — z wymówką zawołała dziewczyna.

— Nie, ale czas ci tu powiedzieć, tybyś mnie jak *Raja* (pana) tego spaliła na węgiel oczyma; ty nie masz serca!

— O! a na cóż ci serce moje?

— Pytasz się, Azo?

— Pytam się, boś pokochał bladą *egaszi*.

Tumry spuścił oczy.

— Tyś w ówczas szalała z *gadziem* także.

— Tak jak dzisiaj — odparła cyganka. — Ale cóż tobie do mnie i mojego serca? Nie chciałeś mnie wprzód, nie czas już teraz...

— Nie czas! nie czas! — puszczając jej rękę gwałtownie rzekł cygan. — O! ja to wiem. No! ale ja dziś dopiero za tobą szaleję!

— Oh! oh! doprawdy Tumry? — spytała nieco jednak pomieszana dziewczyna.

— Podła! szydzisz ze mnie jeszcze!

— Nie! mam litość i pytam się tylko.

Cygan spojrział na nią z pod brwi nawisłej i umilkł. Szli tak w milczeniu długą chwilę, ale wśród niego zmieniły się twarze i myśli obojga.

Aza z szyderstwa przeszła w niezwykle jakieś zadumanie; znać było że siła ją odstępowała, że uczucie, któremu dotąd panowała, brało górę nad postanowieniem: oko się zasłoniło rzęsami i usta zadrżały...

Tumry z obojętności i odrętwienia przeszedł w rozmarzenie, niemal w szal znowu, z jakim biegł niegdyś nocą do obozowiska... Nie tento już był cygan, który wyszedł z chaty nie swój, zmęczony i zesłabły: piers mu buchała, a oko gorzeć poczynало. Kiedy dwa ich wzroki znowu się po chwili spotkały niespodzianie z sobą, Aza aż się złękła tak uczuła się słabą, tak go

postrzegła silnym i cofnęła się aż krokiem.

— Idź do chaty — odezwala się głosem drżącym — idź Tumry do chaty... zobaczmy się jeszcze.

— Gdzie? kiedy?

— Nie wiem... nie wiem — spieszenie pragnąc a nie mogąc odejść, poczęła Aza — może dziś, może jutro...

— A ty znów polecisz do dworu...

— Nie! do obozu idę...

— Ale będziesz we dworze? — zagadł Tumry, z pytania robiąc wymówkę.

— Wstydz się — dodał, nie pozwalając jej odpowiedzieć — na co ci ten trup na wpół zgnily! Wiesz, że nie stworzony dla ciebie, a ciągniesz go i zabijasz...

Dziewczyna ruszyła ramionami, oko jej rozjaśniło się poczynając palać znowu, usta tchnęły dumą i pogardą.

— A na cóżeśmy stworzeni? — spytała jakby natętniona — na samąż ułdę tylko i tulactwo, na ból i cierpienie. Nie! nie! wiedział wielki *Mroden-oro*, na co nas na świat przysłał! On nas przeznaczył na zgubę, na klęskę, na niszczycieli *gadziów*; i kazał im szkodzić, kazał nam ich zabijać! Każdy z nas robi co umie, spełniając wielki rozkaz *Mroden-oro*, o którym matki mówią nam od dzieciństwa, przypominając co nas czeka. Staro wróżą i straszą wróżbami, chwytają im dzieci, zabijają młode matki, a my dziewczęta musimy ich męczyć inaczej! Ja go zamęcę! zamorzę! ja go wzrokiem zatruję!

Jakiś instynkt zniszczenia i zajadłość tak zawzięta mówiły przez usta dziewczyny, że Tumry aż się jej przestraszył prawie.

— Mielizby oni posiąść wszystko, a my nie nie mieć

prócz nędzy naszej? Za co świat podzielili między siebie, i bogactwo, i ziemię, i wodę, i powietrze? Nam też dostać się coś musiało, i myśmy robakiem, co się w ten owoc wpija, co ziarno z niego wyjada! Niech zginie! niech zginie! — dorzuciła z zapalem.

— Niech ginie! — poszepnął Tumry zamyślony — a jednak wiesz Aza — dodał wahając się — mnieby go żal było!

— O! boś ty już nie syn *errumanselów* — przerwała dziewczyna popędliwie — tyś *gadzio* jak oni krwią i sercem, tyś także nasz nieprzyjaciół, kiedy nad nimi masz litość!

— Szalejesz! — rzekł Tumry.

Aza uśmiechnęła się, a z pod warg jej różowych białe zęby ścięte, jakby kasać chciała, błysły dwoma rzędami pereł.

— No! dość tego! dość tego! do chaty niewolniku, do budy przykuty *szukela* (psie), do żony *gadziu...* a ja do swoich!

Tumry chciał się jej jeszcze spytać, kiedy ją zobaczy, gdzie się z nią spotka znowu; ale dziewczę odżywszy przytomność i władzę nad sobą, poniosło się jak wiatr i z oczu mu znikło.

Wieczorem Aza znów przeleciała pod chatą Tumrego, i pobiegła do dworu. Co ją tam ciągnęło? czy ciekawość, czy ciekawość, czy w istocie ten instynkt zemsty i prześladowania, który chwilami tak silnie się w jej sercu odzywał? Któż powie...

Pan Adam zawsze ją witał jednakowo słaby, roz-

drażniony jednakowo pragnieniem; ale od dnia pierwszego nie na niej wymódl nie umiejąc prócz palącego pocałunku, poczynął już, zwłaszcza gdy jej nie widział, gdy sam zostawiony był sobie, zżymać się i niecierpliwić.

— Co ona myśli? — mówił gdy go odbiegła i porzuciła sam na sam — zwodzić mnie tak i dręczyć do końca i znów potem odbiedz! Ludzie już nawet śmieją się ze mnie, ja sam nie poznaję siebie; potrzeba to raz skończyć, i albo zatrzymać ją tutaj, lub precz zwodnicę, osmagawszy wypędzić! Dosyć to już tego, dosyć!

I dodając sobie postanowienia, którego nie miał pan Adam, wciąż powtarzał, jakby się chciał przejąć słowami swemi: dosyć już tego! dosyć tego!

Ale gdy śliczna dziewczyna, trochę smutniejsza, niż zwykle, wbiegła do jego pokoju i zabłysła w tej czarnej pustce twarzą pełną życia i ognia, oczyma palącemi jak zwierzęcia dzikiego ślepie: pan Adam zapomniawszy na najuroczystsze dane sobie słowo, cały się rozplynął w rozpamiętywaniu jej wdzięków.

Aza nie rzekłszy słowa do niego, rzuciła się na miękie posłanie, podkurczyła nóżki pod siebie, jakby siedziała na ziemi, głowę wsparła na poduszkach i wlepiwszy oczy w sufit, pozostała tak długi czas zamyślona.

To dozwoliło panu Adamowi nieco się znów podsiłic i przypomnieć sobie pierwsze postanowienie.

— Azo! — rzekł surowiej podchodząc ku niej — uo! cóż będzie z nami: raz to potrzeba skończyć...

Ale cyganka głowy nawet nie odwróciwszy, wciąż zapatrzona w górę, pewna swej siły, odpowiedziała obojętnie:

— No mówże, rada posłyszę, jak się to skończyć powinno?

— Jak chcesz, byleby się skończyło — odparł, udając stanowczą wolę pan Adam. — Mam już dosyć twoich zwodnictw i twojego szyderstwa; cyganie niech dalej idą, a ty zostań się ze mną, lub i ty i cyganie precz!

Ostatnie słowa wymówił tak cicho, tak drżąco i niewyraźnie, jakby się lękał sam ich usłyszeć, i urwał niedokończywszy.

— Cha! cha! cha! — rozśmiała się szalona dziewczyna, wciąż w sufit patrząc do góry — a gdy cyganie pójdą i ja z cyganami, co ty tu lepszego poczuiesz? O! powiedz mi proszę! Będiesz ziewał, nudził się, przebierał w brudnych wieśniaczkach, kupował sobie blade mieszczanki; może w ostatku ożenisz się raz drugi, i drugi raz cię zwiada...

Wspomnienie to zawsze przykre dla pana Adama i niecierpliwiące nadewszystko, było jedynym może sposobem rozdrażnienia go. Chwycił się z krzesła strasznie błyskając oczyma.

— Cicho żmijo! — krzyknął, wpadając w uniesienie gwałtowne.

— A! a! patrzajcie! zebrał się na gniew! — zimno poczęła cyganka.

Ta obojętna odpowiedź jeszcze bardziej podlegnęła bezsilnego.

— Jeszcze słowo — rzekł — a...

— A co? — zapytała Aza.

Pan Adam zatrząsł się od gniewu i chwycił się aż za włosy; nie mógł już nic wymówić, taka nim miotała zjadłość chorobliwa. Potajemnym rzutem oka zmierzyla dziewczyna jego pasję i niebezpieczeństwo na jakie się narażała, jeśli jej nie pohamuje, bo wiedziała już jakim był pan Adam, gdy nagle z apatji codziennej

wpadł w szal niecierpliwości; powstała więc powoli z uśmiechem, i nic już nie mówiąc, wlepiła weń dwoje oczu czarnych, w które z siebie sączyła jady i uroki.

Nie mógł się im oprzeć pan Adam, bo go ścigały wszędzie i pociągały jakąś niepojętą siłą; chciał wytrwać w gniewie, perzył się i nasrażał, a czuł jak się to rozpryskiwało i uchodziło; nareszcie zwyciężony, rzucił się na krzesło w posępnem milczeniu. Cyganka nie mogła pozwolić, by ją tak rychło wygnano ze Stawiska.

— O! nie — powiedziała sobie w duchu — nie czas mi odejść jeszcze: wprzód Tyrego opętać i pociągnąć za sobą muszę. Pójdę kiedy zechcę, nie wypędzona sromotnie, ale odwoływana ze łzami. Czekaj *Raju!* zapłacisz mi to we troje, zapłacisz za dzisiejsze!

Twarz jej tymczasem rozjaśniała się smętnie.

— A! niewdzięczny! — zawołała — za to, żem do niego powróciła, on mnie jeszcze łaje i męczy!

I uśmiech tak łagodny wykwił na jej usteczkach, stała się tak zadumaną, powolną, tak jakoś nieszczęśliwą i strapioną, że pan Adam rozstrojony zupełnie, przypadł do niej na klęczkach.

— A! daruj mi, przebac, nie gniewaj się i nie płacz! Ja tyle ucierpiałem od ciebie, głowa mi się zawraca... Powiedz przecie raz co myślisz? Kochasz mnie, czy nie? będziesz, czy nie chcesz być moją?

Aza potrząsała głową.

— Czyją ja będę, to na całe życie; a kiedy się kto ma zaprzedać sam w niewolę, musi dobrze pomyśleć i serca zapytać. Nie! nie! ja ci tak prędko przyrzec nie mogę. A! widzisz, żem tu wróciła!

— Więc kochasz mnie? — spytał przechodząc nagle

do rozczulenia pan Adam, i biorąc rękę, którą mu opuściła cyganka.

— Alboż ja wiem? — odpowiedziała — kogo kocham, i czy kocham, i czy kiedy kochać będę? Moje serce spi jeszcze, a kto je rozbudzi, ten posiedzie. Probujcie!!

— Ale moje? — rzekł pan Adam.

— Twoje niech cierpi i niech czeka!

— To dziw, doprawdy — zrywając się i poczynając przechadzać, mówił sam do siebie pan Adam — z kąd się to proste dziewczę mogło tego wszystkiego nauczyć; i słów tych, i myśli, i tej sztuki zalotnej, którą lepiej od naszych pań umie? Wyraźnie robi sobie ze mnie zabawkę!

Zapobiegając przewidzianemu buntowi, Aza, której się przechadzka pana Adama po pokoju nie podobala, pragnąc go silniej znów ku sobie przyciągnąć i wybić mu z głowy niewczesne zamiary, z którymi się wymówił zrazu, skinęła nań i chwyciła. Wiedziała czem go ukołysać, czem ująć i przynęcić: uczyniła się piękną, pończotną, zamyśloną, i posadziła niewolnika u boku swego, dając mu oko, rękę, a głowę niedbale skłaniając na jego ramię.

I czarodziejka zawładła nim znowu z łatwością, a pan Adam zapomniiał, że przed chwilą srożył się na nią i wypędział.

Tak mu było rozkosznie z tą główką zbliżoną do ust jego i spoczywającą przy piersi, w atmosferze jej oddechu i wejrzenia... Zamilkli oboje.

A w tej chwili, dwoje strasznych oczu czarnych przez gałęzie bzu i szyby okna wkradły się do przyściemnionego pokoju, i poczęły w nim zapalczywie szukać, na kimby spoczęły.

Dziewczyna jakby ich uklucie poczuła nad sobą, wstrząsła się i poruszyła, niewiedząc sama co ją zbudziło wśród gnuśnego jakiegoś marzenia; zerwała się, ale już było zapóźno!

Tumry, który śledząc jej kroki przybiegł za nią do dworu, szpiegując ją i Adama, zobaczył ich oboje w niemych spoczywających uścisku, i ściskając pięście odskoczył od okna zajadły.

— A! — zawołał — zabiję ich oboje! zabiję, podpale dwór, puszcze w popiół wioskę całą... niech gią! Ta nędznica zwodzi mnie, zwodzi jego, radaby męczyć świat wszystek! Za co ten człowiek ma ją sobie przywłaszczać? za co on tak szczęśliwy? ja tak nędzny, za co ci gadziowie mieć mają nawet z naszego dobra najlepszy kęs! Przekłęci!

Mówił a patrzył, choć obraz, który miał przed oczyma palił go zemstą i boleścią i nasycal się nim, oderwać nie mogąc od widoku burzącego mu piersi. Aza tymczasem podniosłszy głowę, spuściła ją znowu na ramię obłąkanego Adama.

Dumali tak we dwoje, i z ust cyganki naprzód ledwie dosłyszana, cicha, wyrwała się piosenka lat jej młodych, dobrze znajoma Tumremu, budząca w nim wspomnień tysiące. Powoli wysnuta z ust i piersi, ożywiać się poczęła, stawiała coraz głośniejszą, coraz weselszą, nową męczarnią karmiąc cygana. Bolał a oderwać się nie mógł; niewyraźne słowa, które sam tylko rozumiał, pełne ognia i namiętności rozpasanej, chwytal uchem, polykał z oddechem, bojąc się stracić jednego.

Czegoż bo tam nie było w tej dziko-tęsknej a miłosnej do szalu pieśni cygańskiej!!

Tumry przypominał sobie wszystkie miejsca, gdzie kiedy w życiu ją słyszał; całą swoją dolę od kolebki, i cierpienia młodości, i losy swoje i Azy, która pod okiem jego rosła z dziecięcia w dziewczkę, dziewczę, w czarodziejkę.

I zapomniawszy gniewu na jedną chwilę przelotną, zadumał się, z kąd mu przyszła ta niespodziana miłość, której wprzód nie czuł w sobie ani zarodka; z czego się urodziły tęsknice za żywotem niedawno dlań przekętym i nienawistnym, i jak się mógł zmienić tak bardzo, by tak strasznie nieszczęśliwym zostać?...

— A! to są chyba czary — rzekł wzdychając — to urok rzucony na nieszczęście i zgubę moją, to zemsta romów. Wleli w jej oczy jad, żeby z nich spłynął w serce moje! Chcą zatracić mnie, i żonę, i dziecię moje, nasylając na nas obłędy, tęsknice i głupie pragnienie! Aza powoli zabije mnie jak wąż wzrokiem; nie żyłaby prawdziwa krew cygańska, gdyby czegokolwiek od kogo nie kradła!

— Powrócę do chaty! — zawołał, odwracając oczy.

Ale w tem nowa zwrotka pieśni przedłużającej się jeszcze, doszła do jego ucha, i zastanowił się Tumry.

Jak we śnie ciągnęły przed nim mury poczepiane do słów piosenki, i głębiej coraz a głębiej cofał się za niemi do dni dzieciństwa, spieczoną głowę w dygocących ściskając dłoniach...

— O! przekłeta! przekłeta! — wołał — ona czuć musi i wiedzieć, że ja tu jestem, że jej słucham i pieśnią przykuwa mnie do siebie, trzyma, a serce wydziera... Pójdę! — I począł uciekać, ale drżały pod nim nogi. i na siłę przemagając urok, który go trzymał u okna, powłókł się do swojej chaty.

Tu pusto było i smutno jak zawsze, ale stara Jaga wróciła była do obozu, i Motruna ściągnęła się z łóżka z dzieckiem u piersi, rozpoczynając drugą część życia, którego pierwszej chciała zapomnieć. Stała się już matką tylko i żyła dla tej dziewczeczki, która w snach powicia nie wiedziała jeszcze, na jaką przyszła w świat nędzę.

Zaledwie wstawszy na nogi, potrzeba było Motrunie znowu począć myśleć o chacie, o dziecku, mężu, który co dzień bezczynniejszy, bezwładniejszy, mniej jej dopomagał, całe dni trawiąc przyrosły do ławy i jakby na pół senny.

Jeszcze chora, poniosła naprzód dziecinę do chrztu, a nie było jej komu za kumów posłużyć i dwoje dziadów musiał ksiądz wezwać prawie siłą do tego obrządku, bo nikt z dobrej woli kumać się nie chciał z cyganichą.

Z niemowlęciem u piersi, biedna Motruna powlokła się potem pod drzwi ojcowskiej stodoły, spodziewając się tam znaleźć może młodsze go brata. Szczęściem dla niej, wychodził właśnie z kulem słomy na plecach, gdy mu zastąpiła drogę.

— O! Filipie braciszku — zawolala chwytając go za swiętę — zaczekaj chwilę, niech choć twój głos usłyszę.

Filip się uląkł siostry, ale zatrzymał.

— Czego ty chcesz? — spytał.

Motruna zaczęła od płaczu, za którym ledwie przemówić mogła.

— Patrz — rzekła nakoniec — miejcie litość, kiedy nie nademną, to nad moją dzieciną. Nie mamy już co jeść w chacie. Tymry opuścił ręce, jakby go na śmierć prowadzili, do niczego się nie bierze. Jeszcze na biedę

cyganie przyszedli i głowę mu zawracają; pełna ich chata! Ja się tak boję, a on ani zważa.

— A cóż ja ci poradzę? — spytał Filip.

— Dajcie co choć dla dziecka! Ja głodna i ono się nie pożywi odemnie; gdyby choć mleka kropelkę, gdyby choć co dzień kawałek chleba!

Filipowi łzy zakreśliły się pod powieką, jakoś mu serce zastukało w piersi, i zawołał nie namysławiając się długo:

— No! chodź za mną!

Skwapliwie rzuciła się za nim Motruna, z trochę słabej nadziei. Filip dźwigając słomę, wprost zmierzał ku chacie, a posłyszawszy siekierę Maksyma, ładującego wóz pod kłocią, zrzucił kul z ramion, i skinął na siostrę, by szła z nim razem.

Zdawało mu się, że dość było biedną Motrunę pokazać bratu, żeby w nim litość obudzić. W istocie nie było to już owe śliczne, hoże, rumiane dziewczę, o które wszyscy parobcy we wsi rozbijać się myśleli; zwiedła, blada, schorowana i zamęczona, starą się stała przedwcześnie, a ślady wdzięku i młodości starły cierpienia do szczytu, wyniosło z sobą znużenie.

Gdy Maksym podniósł głowę na głos Filipa i zobaczył siostrę, nie poznał jej zrazu, tak straszliwie ujrzał ją inną. Ona przybliżyła się do niego, ukazując dziecięcą zapłakaną, i słowa powiedzieć nie mogąc, do nóg mu upadła. Maksym odstaąpił kilka kroków.

— Po co ty tu? — zapytał, dodając sobie gniewu, którego nie miał, bo go złamał widok tej nędzy.

— Żebyś zobaczył, coście z nas zrobili — odparła Motruna.

— My? — rzekł jakając się Maksym — nie my, ale

wy sami! A pocóż się było sprzeciwiać woli ojca? Pan Bóg cię skarał Motruno!

— A czyż już kary nie dosyć?

Maksym cały był pomieszany; widać było, że sam nie wiedział jak sobie poradzić i szukał sposobu, by się z tego przykrego położenia wywikłać.

— Ratujcie mnie choć teraz — odezwiała się Motruna — jeśli nie czem innem, to chleba kawalkiem, bo i tego nie mam...

— Chleba już nie nadawać — odpowiedział Maksym, a i u nas go nie ma nadto: rok był nieomlotny, a u nas semia duża; ledwie do nowego wystarczy. Na co się wam upierać i tu koniecznie siedzieć, kiedy gdzieś indziej zapracować możecie?

— A chata? a sadyba? — spytała siostra — a tyle naszego harowania koło niej? Zresztą, mój bracie, jak mnie tam pójść w świat za nim?

Nie chciała powiedzieć biedna, że go się co dzień więcej lękała: tak się jej zmienił, tak zdziczał, tak zcyganiał.

— Filipie — rzekł Maksym — dajcie jej miarkę żyta; tylko żeby żonka nie widziała, bo i u nas nie wiele, a głęć dosyć... Idźże już Motruno!

— I tak mnie odprawiasz, bracie?

— No! no! — dorzucił Maksym — bylebyś się cygana pozbyła, choćby poszedł do licha, byłaby może jaka rada... ale z cyganem my nigdy nie będziemy mieć druzby, to darmo! Ojciec przykazał, gromada postanowiła, pan prosił i naglił, a nie ustąpił, to i nie ustąpimy!

Jakkolwiek Maksym nie obiecywał, sama zmiana mowy jego zapowiadała, że się wahał i chciałby coś

zrobić dla siostry; nie nalegając więc, odeszła Motruna spokojniejsza, po żyto myśląc przyjść później, i zostawując je umyślnie, żeby po nie do chaty i braci drugi raz zajrzeć miała prawo.

Na drodze spotkała się z Jankiem, który kulawego i upartego wolu pędził powoli ku zagrodzie.

— A zkadźle to Motruno? — zapytał przyjaciel — i dokąd to kochanie idziecie?

— O! jak my ciebie dawno, pocziwy Janku, nie widzieli — weselej odezwala się kobieta.

— Nie mam ja tam po co chodzić do was — bez ogródki odparł chłopak. — Myślałem z początku, że to co pocziwego ten twój cygan, a to taki szelma jak i drudzy... Żebym był tobą, porzuciłbym do licha niewiarę, niechby sobie wędrował ze swoimi, albobym poszedł i nie wrócił, bo nie ma po co...

Motruna cała drżąc stanęła.

— Cóż on zrobił? — spytała — ja nic nie wiem?

— Dobra z ciebie kobieta, żeś ślepa; chciałbym i ja wziąć zkadź taką żonę! A toć ten lajdak za cygankami lata jak parobek, domu nie pilnuje, a co mógłby do Rudni pójść na zarobek, to się to włóczy po polach, albo w chacie drzemie. Już ja tam do was i nie zajrzę, bom zły; bywaj mi zdrowa Motruno!

To mówiąc podniósł gałąź na wolu, który się paść zaczął, popędził go i poszedł dalej.

Po wierzchu patrząc na życie, jak potężne w niem różnice, jak wielkie stopniowanie losów w różnych klasach społeczności, a w miarę ich wykształcenia i oby-

czajów, jak pozornie odmienne uczucia, zajęcia, namiętności! Ale wewnątrz odarłszy z szat misternie narzucanych czynności i sprężyny ruchów, jak dziwnie na jedno bolejęm wszyscy: płaczem, radujęm się i umieramy jednakowo! Też same tu i tam choroby serca, też bólesci duszy i ułomności natury, te same nadzieje i zawody... W ich objawieniu się na zewnątrz cała różność tylko; w głębi, człowiek człowiekiem wszędzie, i dlatego na najniższym szczeblu społeczeństwa prawdziwszy tylko, dobitniejszy, ale ten sam znajdziemy obraz co w górze. Pozniemiane nazwiska, pochrzczone przystojniej czynności, poprzybierane namiętności wstydlive; ale je poznasz po skutkach — wszędzie toż samo i toż samo.

W chacie wieśniaczej tylko mniej komedji, na którą nie ma czasu, lub komedja odegrana nienczo, instynktowie, jak owe włoskie improwizacje sceniczne: a w pałacach sceny dłuższe, rozwiązania mniej burzliwe, choć czynność ta sama.

Rzadziej wprowadzie pod strzechą słomianą rodzą się gwałtowniejsze uczucia; ale raz powstawszy śmielej i raczej idą do celu, niż tam, gdzie wszystko przywykło ukrywać się i maskować.

W chacie Tumrego nie było pokoju, nie było marzonego niegdyś szczęścia; już przed przybyciem cyganów wygnały je wspomnienia, zawsze następujące po naglej a zupełnej życia zmianie, w którą człok rzuca się nienważnie, a odpokutować musi żałami i tęsknotą. Serce Motruny od narodzenia dziecięcia do niego należało wyłącznie, a Tumry zobojętniony, ostygły, ku sobie już go nawrócić nie mógł. Motruna domyślała się przywiązania jego do Azy, o którym i stara Jaga jej plotła

nieuważnie; ale nadto była harda, żeby ze słowem wymówki odezwać się miała. Boleść swoją zamknęła w sobie, i cała poświęciła się dziecku, wyrzekłszy się innej przyszłości, przewidując zawczasu, że ten, dla którego wycierpiała tyle, porzucić ją musi i stać się niewiernym.

To poddanie się losowi Motruna winna była instynktowemu wyłącznemu przywiązaniu do dziecięcia, w którym potrafiła zamknąć życie całe.

Tumry też od tej nocy, w której powstał z łóża nieprzytomny, ścigając obóz cygański, tak był obojętny, tak zimny, tak dziwnie zmieniony, że próżnem się zdawało chcieć go dawnemu i czynnemu życiu przywrócić. Jak gdyby wysiłek pracy go zmógł, jakby upadł na sił ostatku, błakał się bezczynny, zdziczały: nie widząc nic wkoło siebie, nie słysząc ani śpiewu matki nad kołyską, ani płaczu dziecięcia. Nigdy z troską ojca nie pochyliło się czoło jego nad niemowlęciem, na które roztargnionem patrzył okiem; krzyk jego budził go czasem, ale do serca nie dochodził.

Motruna więc choć niby nie opuszczona przez niego, w istocie sama była na świecie; a słowo litości starszego brata, wąta, jedyną dla niej zostało podporą.

Cygan to chmurny siedział na ławie, to latał całemi dniami szpiegując Azę, klnąc ją, ale szukając czarownicy.

Ostatniego dnia, gdy przytulony do szyby zobaczył ją z głową zawieszoną na ramię Adama, gdy pieśń stara cygańska rozkołysała nim do reszty: nie miał już siły powrócić nawet do domu, choć go tam wołało sumienie. Poszedł do chaty, odetchnął jej ciężkiem powietrzem, i wybiegł w pole jak pies oszalały, kręcąc się bez celu, i nogi go same powiodły pod obóz cyganów.

Gromadka *Romów*, pod nowem panowaniem Puzy, wystawiała jeszcze większego nieładn obraz, niż przedtem; a Aprasz, dawny jej dowódca, z uśmiechem szyderstwa spoglądał na to, co się tu działo. Ale i on także zmienił się do niepoznania w krótkim przeciągu czasu. Zdawał się zgadzać ze swoim losem i spodziewać czegoś od przyszłości razem; posługiwał milcząc tym, którzy go wczoraj słuchali ze drżeniem, i niekiedy tylko błysk okna, ruch ust zdradzał niewygasłe uczucie dumy, lub zemsty pragnienie. Pod namiotem nie było ruchu jak dawniej; miech leżał wywrócony, kowadło było na wozie, narzędzia kowalskie na kupę zwalone; nikt nie robił prócz Aprasza i kilku starych bab, krzątających się dość leniwie i kłótliwie około kociołka. Wszystkiego dostarczono ze dworu, a ufne w opiekę Azy stare cyganki, dokazywały po wiosce, wydzierając co mogły i panosząc się łatwowiernością ludu, z którego się śmiały.

Pnza jako nowy pan, nadużywał swej władzy i swobody świeżo zdobytej, całe dni nękał Aprasza, lub z fajką w zębach spędzając je u ogniska na drzemaniu.

Gnuśny spoczynek podobał mu się i całej bandzie, a dzieci nawet korzystały z niego, bezkarnie plądrując po okolicy. Aza, która rzadko i na krótko zaglądała do obozu, nie postrzegła co się tam w nim działo: ale co dzieć widoczniejszem było, że wkrótce zabraknie Aprasza, i Puza nie potrafi rządów w nieprzywyklej trzymać dłoni.

Tumry przywłókłszy się pod obozowisko, zastanowił się przy *werdenie* (wozie), pod którym na gołej ziemi, sparty na żylastem ręku, leżał samotnie opodał od drugich stary Aprasz. Spojrzał na niego, spotkały się ich

oczy, ale oba byli zarówno nieszczęśliwi: i dawna ich nieprzyjaźń zagasła w sercach, przybita nowymi silniejszymi wzruszeniami.

W wejrzeniu ich nie było gniewu i nienawiści. Stary cygan zobaczył na twarzy Tumrego tak wyraźne ślady znękania i rozpacz, dochodzącej prawie do obłąkania, że się uczuł dość za dawne przewinienia pomszczonym: a Tumry widząc upokorzonego *dados*, w najgorszym miejscu na gołej leżącej ziemi, nie miał już serca więcej mu naigrawać się.

— Ha! — rzekł z cicha uśmiechając się Aprasz — zablakałeś się tu znowu, trudno ci już usiedzieć w chacie.

— Nie lepiej tobie w obozie! — odparł Tumry.

— A kto wie... — rzekł *dados*, — tybyś się może jeszcze na moją biedę pomieniał.

— A ty na moją? — spytał młodszy cygan.

— O! nie! — odrzekł dumnie trzęsąc głową dowódca — jam jeszcze dziś swobodniejszy od ciebie! Chciała ta *byńk'a ciał*, chciała gromada, żeby Puza dowodził: niech poprobuja, zobaczymy co będzie dalej. Meczają mnie jak mogą, alem ja do pracy przywykł; łają, ale ich nie słucham i śmieje się. Cóż mi tak zlego zrobili?

— Jakto? nie przeklinasz swojej doli? — spytał Tumry.

— Na co tu kląć, gdzie potrzeba cierpieć! *Bukelisom* mi nie dokucza (głód), *piri* (garnek) co rana i wieczora przy ogniu, a pełen; nie jednoż mi wodę nosić i drwa rąbać lub kuć młotem!

— Ale ich słuchać!?

— Prawda — począł stary cygan — temu co rozkazywał całe życie, słuchać zrazu nie lekko; ale jakoś

i tego nauczyć się można.

Tumry westchnął.

— A stracić nadzieję, kiedy się ją miało, jak ty coś Ażę w rękę trzymał?

— *Egaszi* jest jak *gweka* (kobieta jest jak wąż) — odparł Aprasz powoli — ktoś ją kiedy miał w rękę? Trzymasz: aniś się opatrzył jak ci się wyśliźnie i ukąsi.

— Chybaś jej nie kochał, stary?

— A tyś ją podobno pokochał zapóźno — szydząc odparł zmęczony dowódca. — Dla mnie to była nie pierwsza miłość; tyś się na swojej nie poznał, ja tę chorobę nieraz już przebolełem, ty dopiero na nią chorować zaczęłaś. O! o! nie zazdroszczę ci, bo jeśliś ją pokochał to ci zaleje za skórę.

— To szatan kobieta! (*Bynk egaszi*) zamyślony odparł Tumry — ktoś wie co ona myśli, kto wie kogo kocha, kto powie co zrobi jutro?

— Jak kobieta — rzekł Aprasz zimno — a któraż z nich inna? — Czy *Ranni*, czy *gaulzia* (cyganka, czy obca), wszystkie one jednakowe, jednej matki córki...

— Nie! takiej jeszcze na świecie nie było!

Aprasz przewrócił się na drugi bok i rozśmiał się głośno.

— Lata do obozu, lata do dworu, wabi kogo spotka, znęci każdego, a z kamienia sama.

— Zachciałeś: młodość w niej szaleje! Jabym jej to wszystko darował, gdyby tylko chciała być moją!!

W tych słowach przemawiało samolubstwo starości, która się spodlić gotowa, by jeszcze użyć choć trochę. Tumry porwał się oburzony, nie pojmując tego uczucia.

— Ja! jabym ją za to zabił, gdyby moją była!

— Toś ty widzę naprawdę dla niej oszalał, Tumry!

Dobrze ci tak! — rzekł Aprasz.

Cygan umilkł.

— Z kolei — dolożył szydząc Aprasz — może kiedy będzie i twoją, gdy jej panicze nie zechcą, a przyjdzie do głowy przytulić się do cygana i zagrzeć się przy czarnej jego piersi.

— Nie! nigdy! — gwałtownie przerwał młody cygan — bo gdyby potem uśmiechnęła się tylko innemu, to-
bym ją jak psa zabił!

— Gdybyś jak ja miał z górą pięć lat dziesiątków — powoli odpowiedział Aprasz, przeżuwasz liść tyto-
niu — inaczejbyś patrzył na te rzeczy. Nie widziałeś Azy po wyjściu ze Stawiska i twojej ucieczce, to nie wiesz jeszcze, jaki to szatan dziewczyna! Nie policzyć ilu chłopcom sprzedawała pocałunki i uśmiechy po drodze, ilu ich wlokła za sobą i jak im przewracała głowy. Nieraz i mnie staremu zazdrość poczyniała gryźć serce spróchniałe; ale sobie mówił zaraz: byleby moją była, darowałbym jej to wszystko! Bo i w istocie ten szatan zwodzi tylko żeby męczyć, ale nie da się wziąć nikomu. Zdaje się, że szalenica jak jeść, pić i oddychać, tak zwodzić, męczyć i drażnić potrzebuje; łapałem ją nieraz jak poczwarnego Puzę i prostych chłopów czarowała oczyma, żeby tylko nie próżnować, a potem, potem na całe gardło się z nich śmiała!

Tumry potarł kroplami potu zroszone czoło.

— Więc jej na chwilę wierzyć nie można?

— Wierz jej gdy zła, ale gdy ci oczyma powiada o sercu swoim, ustami zaręcza, że kocha — pluń jej w twarz jak kłamcy, bo kłamie!

Cygan wstał z ziemi i westchnął, a Aprasz z pod wozu spojrzał tylko za odchodzącym, i tak się rozstali

milczący.

Znowu błędnym krokiem włókł się Tumry bez drogi, stając, zatrzymując się, biegnąc jak szalony...

— Ha! — wołał sam do siebie — nie ma co myśleć dłużej: potrzeba skończyć, kiedy tak żyć ciężko... Widziałem jej głowę na piersi tego zgnilego trupa, i nie chcę nic widzieć więcej. Ani mi powrócić do cyganów braci, ani żyć z *gadziemi*, którzy jak psa odpychają. Ot! strycek na szyję i *Bynk'u* oddać duszę...

Myśl ta, która już nieraz przeleciała mu przez głowę, teraz w niej silniej niż kiedy uwieczła. A życie stało się dlań tak ciężkiem i nieznosnem, że dalej dźwigać go nie mógł. Motruny nie kochał, dziecię dlań było obojętne, nędza dojadła, Aza zdradziła... na jutro nie nie zostało, prócz śmierci.

I lżej mu się zrobiło po tem postanowieniu, jak człowiekowi, który płynąc po długiej burzy na morzu, nareszcie choć brzeg skały zobaczył.

Uśmiechnął się dziko i schwycił za pas czerwony, który już w myśli za strycek sobie przeznaczał. Był to welniany pas, wysnuty i ufarbowany ręką biednej Motruny — żona przyszła mu przezeń na pamięć.

— I jej też lżej będzie, rzekł w duchu; bracia ją przyjmą, dwór i gromada, byle cygana nie stało, wykarnią sierót dwoje! I ta nie zapłacze po mnie; na cóż żyć, żeby ludziom ciężcyć i sobie!

Obejrzał się po niebie i po świecie, a chmurno jakos było, i wietrzno, i smutno jak w przeddzień śmierci: w mrokach i we mgłach okolica wydawała się pustą i dziką. Już miał odpiąć pas i sięgał poń szukając okiem galezi, choć w okolo czyste rozciągało się pole, gdy żywy krok dał się słyszeć, i z za pagórka wybiegła pę-

dem leć Aza.

Tumry aż odskoczył gdy ją postrzegł, i włos mu się najeżył.

— A ty tu? zawołała z uśmiechem — chodziłeś widzę do obozu; czyś czekał na mnie?

— Czekałem na ciebie — gorzko odpowiedział cygan — żeby ci w oczy plunąć raz jeszcze, i więcej nie widzieć!

— Co ci się stało Tumry?

— Nic, tylko byłem pod oknem dworu, kiedyś śpiewała „*Tłowawa Jag...*“ *).

— I słuchałeś pieśni? — spytała obojętnie dziewczyna.

— I patrzałem jakieś spoczywała na ramieniu *Raja* Adama...

— Trzebaż było dopatrzeć do końca — z gniewem odpowiedziała Aza — byłbyś widział jakieśmy się rozstali!

— Lub jakieście się zesłi? — spytał cygan z pogardą.

— Tumry, tyś doprawdy oszalał! — tupiąc nogą z gniewem przerwała cyganka.

— Nie, ałem się wytrzeźwił — krzyknął Tumry — i myślę skończyć dobrze!

To mówiąc rwał w rękę swój pas czerwony.

— Ale doprawdy głowa ci się zawraca! — poczęła Aza przestraszona rozgorączkowaną twarzą i ponurym wzrokiem Tumrego — co ty myślisz?

— Myślę pójść do lasu i powiesić się — rzekł cygan spokojniej. — Jak ci się zdaje, wszak dobrze zrobię?

— Dlaczego? dlatego żem się dała uścisnąć temu schorzałemu, staremu dziecku! — odparła kobieta.

— O! o! nie myślnie znów, żebyś się wieszał dla

*) Początek cygańskiej pieśni od słów: „Palić ogień“.

ciebie — przerwał Tumry, wciąż rozwiązując pas, którego rozplątać nie mógł — dość mi i bez tego życie dojadło, a tyś tego niewarta!

Aza stała coraz bardziej przestraszona, i postrzegłszy, że gniew nie pomaga, że rozkaz byłby daremny, poskoczyła z namietnością do cygana; ale Tumry zdala ją odepchnął wzrokiem i ręką.

— Precz gadzino! — rzekł — precz! Idź, sprzedaj się komu chcesz i za co chcesz! Ja nie mam cię kupić za co!

To mówiąc odwrócił się i pobiegł w las, do reszty oszalaly i rozmarzony boleścią.

I znowu leciał przez pola, jak niegdyś do obozu cyganów, a nie czuł jak przebiegał przestrzenie, nie słyszał krzyku dziewczyny, która gonila za nim, nie wiedział kiedy ciemna gąszcz lasu go otoczyła; skronią uderzył o pień dębu i upadł krwią zlany...

Po nad nim szumiał wicher i burza, łamały się gałęzie, przelatywały kruków stada, spedzone zawieją dżdżystą; Tumry w odrętwieniu całą noc tak na mokrej przeleżał ziemi. Dopiero ranek i świtanie, chłód dnia i znużenie ostateczne, otworzyły mu oczy senne i oprzytomniły nieco. Ale z pierwszym blaskiem zorzy, myśl wczorajsza zakończenia samobójstwem przypila się znowu wracając do serca.

Chwycił pas czerwony, którego nie puścił z dłoni ściśniętej konwulsyjnie, i bląkać się począł szukając drzewa, wybierając gałęzie; gdy w tem przyszła mu na pamięć owa opuszczona budła w lesie, którą mu Janek

pokazał, i poszedł szukać przeklętego miejsca na czynność przekłątą.

Ale obląkanemu nie łatwo było pokierować się w borze, którego głębi nigdy nie znał dobrze, a teraz znaleźć się w nim całkiem nie umiał. Szedł i powracał, błądził, nużył się do ostatka i byłby może skończył na pierwszej krzywej sośnie, gdyby stara chata rozwalona nie pokazała się jakby cudem nagle, wśród gęstych zarośli.

Stał więc nareszcie u kresu i uśmiechnął się sam do siebie, poczynając szybko szukać miejsca w upadłiskach przegniłych starej budy strażniczej.

Jedna z belek, na którą pas zarzucić nie było trudno, trwalsza jeszcze od innych, które już zbutwiały leżały, zdała mu się jakby umyślnie pozostałą dla niego; i nie wahając się więcej, rozwinął pas czerwony, końcami jego opasując ją zrecznie.

Wtem, gdy stryczek wiąże i rozszerza, a węzeł mocuje, usłyszał dziwny śmiech za sobą.

Spojrzał przełękły: na pniaku wprost przeciw budy, której ściany całkiem się były rozwalily, i słupy tylko trzymały jeszcze skielet budynku, głupi Janek zasiadł, patrzy i śmieje się.

— Dobry dzień ci cyganie kochanku — zawołał Janek, klaniając mu się dziurawym kapeluszem słomianym — choć raz przecie rano do roboty wstalesz! A co? jak to dobrze, żem ci miejsce to pokazał, jakby umyślnie na urząd zrobione dla ciebie!

Tumry stanął osłupiały, puszczejąc z rąk pętlę.

— Nic! nie! nie przerywam — kończył parobek — nie przeszkadzam, rób swoje: chcę się tylko przypatrzyć, jak się to robi, na przypadek gdyby się to i

mnie przytrafiło kiedy. Rób, kochanie, swoje, ja cię pewno nie oderżnę, nawet kozika nie mam w majątku.

Cygan znów ręką drżącą począł wiązać, rozwiązywać pas, i jakiś go wstyd ogarnął.

— Ja zawsze myślałem cyganku kochanie — mówił dalej powolnie Janek — że ty musisz tak kiedyś skończyć: ale się nie spodziewałem, żebyś to sam sobie przyrządził, i tak pospiesznego! No! no! to i lepiej: kończ, kończ, nie balamuc; ja dopiero jak dobrze zastygniesz, dam znać do wioski, żeby darmo nie wiedzieć gdzie nie szukali.

— Pójdźże precz Janku — krzyknął cygan — nie nągawaj się ze mnie w ostatniej godzinie...

— A któżbyto śmiał z takiego wielkiego pana, co życie ludzkie trzyma w rękę, żartować sobie?? Godziłoby się to? — spytał Janek. — Cyganku kochanie, nie sromaj się przedemną, my dawno znajomi: rób swoje!

— Janku, daj mi umrzeć spokojnie! — wyjęknął Tumry.

— Alboż ja przeszkadzam? chowaj Boże! Gdybyś się mnie spytał co masz robić, jabym ci był toż samo poradził! Motrunie, świętej kobiecie, pewno lepiej będzie bez takiego darmozjada; a tobie wygodniej na stryczku niż w chacie, po której głód za tobą chodzi krok w krok jak u siebie...

— Ale ba! — rozśmiał się Janek po chwili milczenia — tyś filut: płaczesz, płaczesz, a powiesić się nie potrafisz! Jabym ci z serca pomógł, ale powiadają, że za to bieda być może: dawaj sobie sam rady! Nie mądraż to rzecz kulkę zrobić, szyję włożyć, a pod nogi lada pniaka podsunąć i — i... —

Tumremn słowa te szumiały tylko w uszach jak szelest leśnych gałęzi: rozumiał tylko, że w nich było uragowisko.

— Ale ty bo cyganku kochanie — kończył zimno Janek — tylko sobie żartujesz i próbujesz, a darmo mnie zwodzisz! Tyś widzę tchórz i tego nie zrobisz!

Ostatniemi słowy, które doszły do uszu Tumrego, dopełnił miarki parobek. Cygan nie patrząc już na niego, nie słuchając go, żywo złożył głowę w stryczek, odrzucił nogą zgniły kawałek belki, na który się spał sięgając do węzła — i zawisł z okropnem miotaniem się w powietrzu.

Parobek ani mrugnął, wstał po chwili, ukłonił się trupowi, i powolnie zwrócił drogą ku wiosce.

— Dobrze zrobił — rzekł w dachu do siebie — na co mu było żyć, kiedy i sobie i drugim na nic się nie zdał, zawałidroga! Sprawiedliwy człowiek, osądził się, sam bez kłopotu wyprawił duszę do piekła! Motrunie i sierocie lepiej będzie, a cygana niewiary nie pożałuje nikt... prócz mnie może. Nie zły był człowiek, gdyby się cyganem nie urodził, bo jak chatę budował, to było na co patrzeć; i gdyby go szatanica z czarnemi oczkami do reszty nie zbałamuciła, kto wie!...

— Ale pod koniec ja sam miałem ochotę zarzucić mn stryczek na szyję, a tak ot! i koniec. Wdowa! albo się kto z nią ożeni, albo sobie i tak da radę!

To mówiąc, Janek narzucił na plecy trochę gałęzi, które był wprzód przysposobił, i śpiewając coś pod nosem, spokojnie powlókł się do domu.

Późno już w noc Motruna siedziała w chacie przy ognisku, kolysząc dziecko w zawieszonym od pulapu koszyku, który dla niej zawczasu przygotował głupi Janek. Smętna jakaś śpiewka lat mlodych zabłąkała się na jej usta dla uspienia niemowlęcia; ale myśl daleko była od pieśni!

Cały dzień prawie nie widziała Tumrego i niepokój poczynił ją chwytać za serce; choć teraz od przybycia cyganów, co dzień mniej, co dzień rzadziej przebywał on w chacie. Zwykł był jednak zawsze choć na noc do lepianki swej powracać, a słowa czasem nie przemawiając do żony, zasypiał przynajmniej na lawie, i Motruna słyszała go stękającego w snach burzliwych.

Pora powrotu zwykłego do domu dawno była przeszła, na dworze wył wicher ostry, burza jesienna trzęsła kruchą lepianką, a biedna kobieta co raz troskliwiej otulając dziecko, podsycając ogień, nastawiała ucha, czy w pośród szumu nie usłyszy skrzypu drzwi od sieni i stąpania na dworze.

Ale napróżno czekała, przysłuchiwała się, drżała, bo nikt nie przyszedł do chaty pod cmentarzem, i pomyślała wreszcie, że Tumry zanocować musiał z cyganami. Gdy dziecko usnęło, ona nie kładąc się zdrzemala także u ognia i kolyski. Sen to był jednak ciągle przerywany niepokojem; najnniejszy szelest przebudzał ją co chwila, i gorączkowem drżeniem do zarania się męczyła. Spodziewała się jeszcze, że Tumry powróci nadedniem: oczekiwała go, wychodziła wyglądać, a nie było i nie było.

Słońce weszło i podniosło się wysoko. Motruna uwiłała się z dzieciną i ogniskiem, ale co chwila odskakiwała od nich do okienka, przez którego szyby mało co

jej widać było, to do drzwi, przez których szparę pusta droga wyglądała tylko. Niepokój jej poczynął dochodzić do najwyższego stopnia.

— Miałaby już nigdy nie wrócić? — mówiła łamiąc ręce — miałoby go całkiem pochwycić i uprowadzić z sobą cyganie? Mógłby on mnie bezsilną, samą z dzieckiem porzucić na zawsze? A! to niepodobna! On chyba zachorował, leży gdzie w polu; może mu się co stało! Potrzebaby posłać, szukać; ale kogo prosić o to?

Przyszedł jej zaraz na myśl głupi Janek, i byłaby pobiegła do niego, gdyby wiedziała gdzie go znaleźć. Wziąwszy nareszcie swój drogi ciężar na ręce, już się wybierała z chaty, kiedy w progu samym z starą się Jagą spotkała.

Nawet cygance rada była wśród tego niepokoju, i powitała ją szybkim pytaniem:

— A! nie wiecie tam! nie wiecie wy co się z moim stało?

Cyganica ruszyła ramionami, i zbliżyła się tajemniczo do ucha kobiety.

— Wczoraj wieczór był u nas... był... ale jak szalony... Widzieli go potem latającego po polach... Aza mi powiedziała, że ją złapał, zbeczczył za jakieś głupstwo, i odgrażał się, że sobie co złego zrobi.

— Ach! — krzyknęła Motruna, w której sercu odezwało się dawne przywiązanie — biegnijmy go szukać!

— Dalibyście pokój — wstrzymując ją za rękę odezwała się Jaga — to darmo! Co się miało stać, to się już stało, bo od wczorajszego wieczora do południa wiele wody upłynęło. Lepiej się przygotujcie zawczasu do płaczu, bo pewnie musiał sobie życie odebrać!

Jaga tak zimno i bezlitośnie wymówiła te słowa, że

Motruna aż krzyknęła uderzona niemi.

— O ja nieszczęśliwa! ja nieszczęśliwa!!

— No! a cóż robić? — zimno poczęła baba. — Ot, jeszcześ młoda, radę sobie dasz i drugiego znajdziesz! Aby młodość!

Pociecha również była przerażająca jak domysł starej cyganki; ale spojrzawszy na ten wyschły skielec, trudno się było po niej czego innego spodziewać.

— Ja muszę lecieć, pytać, szukać... może się błąka — zawołała Motruna, i z dzieckiem na rękę, odpechnąwszy Jagę, która je tymczasem wziąć się podejmowała, puściła się drogą po nad cmentarzem, nie wiedząc dokąd bieży.

Cyganka nie gonila za nią! a ledwie straciwszy z oczu kobietę, wśliznęła się zaraz do chaty jak wąż, by ją w niebytności gospodyni splondrować. Motruna, którą ścieżka powiodła ku cygańskiemu obozowi, wahała się co ma począć z sobą; ale pomyślawszy potem, że od cyganów coś się dowiedzieć może, i że oni jedni zechcą jej dopomódz, skierowała się ku ich namiotowi.

Biedne jej dziecko rozkołysane biegiem matki, która porzucić go nie mogła, poczęło płakać w drodze, ale cisnąć je tylko do piersi, już się dlań nie zastanowiła Motruna. Nareszcie zobaczyła ognisko cygańskie i spotkała Aprasza niosącego wodę w dwóch wiadrach blaszanych.

— Nie widzieliście Tumrego? — spytała zdyszana.

— Tumry — przyglądając się wynędzniałej kobiecie, rzekł Aprasz. — A! to twój mąż być musi; był on tu wczoraj wieczorem. Cóż? nie powrócił do chaty?

— Nie było go, nie było! — jęcząc odpowiedziała kobieta.

— To może go już nie być i nigdy! — zimno, idąc dalej, odparł cygan.

Motruna schwyciła tę okropną wróżbę i wiała się w miejscu, nie wiedząc co począć, gdyż Aprasza prosić o pomoc nie śmiała. Zwróciła się znów do wsi, przypominawszy Janka, gdy na wierzchołku wzgórze otaczającego dolinę, zjawiała się blada, z rozognionym wzrokiem Aza.

Dwie kobiety zmierzyły się oczyma, i instynktem wzajemnej nienawiści poznały. Przybycie Motruny do obozu nadto było znaczące po wczorajszem spotkaniu cygana z dziewczyną, żeby ją uderzyć nie miało.

— Cóż się stało Tumremu? — zawołała Aza żywo, podbiegając ku kobiecie.

— A tobie co do niego! — gniewnie odpowiedziała Motruna.

— Mnie!! — uśmiechając się gorzko, odrzekła cyganka — chyba nie wiesz kto ja jestem?

— O! poznaję cię! — szydersko, może po raz pierwszy w życiu, odezwała się kobieta — tyś Aza.

— Tak, Aza jestem; ale gdzież Tumry? gdzie? co się z nim stało? Mów kobieto a prędzej!

— Ty lepiej zapewne wiesz o nim odemnie! — cofając się zawołała Motruna.

— Nie wrócił więc wczoraj? nie wrócił! — popędliwie poczęła pytać Aza.

— Nie wrócił! — cicho i posępnie powtórzyła echem kobieta, z której oczu ciekły dwa długie łez strumienie, a przez nie przecieź oczy zbolale wpatrywały się ciekawie w twarz ślicznej cyganki.

Aza ręce załamała, i jak stała, upadła cała na ziemię, poczynając zawodzić po cygańsku, i ręce zala-

mawszy nad głową.

Ten płacz istoty tak do niego nie stworzonej, do reszty przstraszył Motrunę: oniemiała z przerażenia.

— Ona wie, ona wie! — zawolała — co się z nim stało; ona go musiała zabić!

W tem Aza jakby odzyskując siłę i nadzieję, chwyciła się na nogi, obejrzała w kolo, podeszła kilka kroków ku lasowi, i wnet obróciła się do dworu. Bieg jej tak był rączy i popędliwy, że Motruna ani pomyśleć mogła ścigać za nią, z dziecięcim i osłabieniem swoim.

Powłokła się tylko płacząc drogą, którą była przyszła; a cała ciżba cyganów, wywabiona krzykiem Azy, wybiegła z pod namiotu i wskazywała na nią palcami szepcząc:

— *Tumry Egaszi!* (kobieta Tunrego *).

Aza wyprzedziła daleko Motrunę i znikła z oczu wszystkim, pędząc co najprędzej do dworu, cała oszalona myślą niebezpieczeństwa, a może i śmierci Tunrego. Zdawało jej się, że jeszcze ratować go można; biegła więc do Adama, aby wysłał natychmiast na wszystkie strony szukać śladów znikłego cygana.

Straszna tą namiętnością tłumioną, która teraz w niej wezbrała, wleciała do pokoju, w którym pan Adam spoczywał, i przelekła go twarzą, jakiej u niej nigdy jeszcze nie widział. Zbladła, zmęczona biegiem, rozpaczająca pochwyciła za rękę wczorajszego kochanka:

— Ratuń — zawolała — ratuń! Tumry, cygan, wczoraj chciał sobie odebrać życie; dziś dotąd nie ma go nigdzie: wysyłaj ludzi, niech go szukają, niech znajdą!

*) W języku cyganów, o ile mi wiadomo, nie ma wyrazów *mązi* i *żona*; jest to bardzo charakterystyczny niedostatek.

— A cóż mię twój cygan obchodzi? — oziębło, z zazdrością prawie odezwał się powoli pan Adam, puszczając kłab dymu.

— Muie! mnie on obchodzi! mnie! Słyszysz *Raj* Adamie — krzyknęła Aza targając go za rękę zimną — dam życie, dam siebie, tylko każ ratować!

Adam spojrział na nią nie ruszając się z miejsca.

— Oszalała — rzekł — cóż to! twój brat?

— Kochanek! mój jedyny, ukochany, ulubiony; ten, bez którego ja żyć nie mogę, nie chcę — wyrwało się z piersi cyganki — ratuj go! Ratuj!

— A jeżeli tak, nie mam się po co spieszyć — rzekł pan Adam — będziesz teraz moją!

— Jeśli on umrze, i ja umrę, a niczyją nie będę! — krzyknęła boleśnie cyganka, drąc z gniewu rąbek i suknię — wysyłaj ludzi, wysyłaj ludzi!

Zapał, z jakim wołała, głośny krzyk jej, już był cały dom poruszył. Słudzy zgromadzili się we drzwiach, a twarze ich zobaczywszy Aza, poczęła ku nim z błaganiem się zwracać, ręce łamiąc, płacząc i wzywając od wszystkich ratunku.

Ale dworska gawiedź nie mając rozkazu pana, ruszyć się nie śmiała; a pan Adam siedział nieruchomym posągiem, i wąsika tylko poglądał. Co go tam jeden cygan obchodził.

— Słuchaj, ratuj go, a będę twoją — przyskakując i szarpiąc go, powtórzyła dziewczyna.

Adam się zimno uśmiechnął i jeszcze nie rzekł słowa. Cyganka próżno błagała, rzucała się i latała po izbie z rozpuszczoną kosą czarną; nareszcie chustką, którą trzymała w ręku, uderzyła zniecierpliwiona po twarzy milczącego sybarytę, i wybiegła ze dworu z wo-

laniem rozpaczliwem, ciągnąc za sobą tłum ciekawych ludzi.

Co żyło, poczynalo gromadzić się, zbiegać i powtarzać zeicha słowa cyganki; wszyscy chcieli biedz szukać Tumrego przez samą ciekawość, ale nikt nie wiedział dokąd się obrócić. Nareszcie i sam pan Adam po zniknięciu Azy, rozmyśliwszy się, rozesłał ze dworu na wszystkie strony, aby szukano kowala. Rozsypali się tedy, każdy gdzie komu na myśl przyszło; a Aza skierowała się ku lasowi jakimś przeczuciem niewytłumaczonem. Kilku ludzi poszło za nią.

Nawpół drogi do boru spotkali głupiego Janka, który z wiązką gałęzi na plecach szedł śpiewając do domu. A że go widziano nieraz rozmawiającego z Tumrym, znano że żył z cygauem w druźbie: gumieuny więc zatrzymał parobka, choć niewiele od niego spodziewał się dowiedzieć, bo jak inni, z powierzchowności sądząc, miał Janka za głupiego i nierozgarnionego.

— Słuchajno głupi Janek — spytał go — nie widziałeś ty czasem cygana, kowala... Tego, tego, co to z pod cmentarza ?

— Kogo, kogo? — udając głupotę, szydersko począł pytać Janek.

— A! kowala cygana, głupi Janku! z pod cmentarza.

— Cygana! Tumrego! Oj! oj! widziałem go pozawczoraj, wczoraj, a nawet... (począł sobie przypominać) ot nawetem go dziś widział!

— Dziś? gdzież? gdzie? — pochwyciła Aza.

Janek nadto miał sprytu skrytego, żeby się wygadać zanadto i opowiadać rozmowę swoją, lub przyznać, że samobójstwa był świadkiem; odparł więc chłodno, skrobiąc się w głowę:

— No! a w lesie!

— Dawno?

— O! godzin już jakby ze dwie! Ono się na ranek zbierało.

— Co on tam robił?

— Albo ja wiem, co on tam robił? Może chodził po drewka, bo czegoś rozwiązany pas niósł w rękę; to pewnie chciał je zczepić... bo u niego i postronka nie ma w chacie...

Aza krzyknęła zasłaniając sobie oczy:

— Gdzież ty go spotkałeś?

— Czekaście! Na Popowej niwie! Nie! nie! na Popoślaku! Nie! nie! w Lisich dołach; ale nie! ot jest! jest! dalibóg koło pustej budy!

Wszyscy więc szukający z Azą na przodzie, puścili się żywo w las drożyną ku pustej budzie wiodącą; a Janek podjawszy drewka, posunął się dalej ku wsi, obejrzawszy się tylko na ludzi, którzy go mijali, z uśmiechem głupowatym.

— Ha! ha! — szepnął cicho do siebie — trochę zapóźno przyjdziecie! A! cóż ja temu winien! Niechby był poczciwej kobiety nie zameczał... a teraz dobrze mu tak.

Z bijącym sercem biegła Aza, ludzie ledwie za nią zdążyć mogli, wskazując jej tylko drogę, którą iść miała. Nierychło jednak dostali się do pustej budy, bo ścieżynki do niej wiły się dziwnie po lesie, a krzaki tak je zarastały, że we wielu miejscach trudno się było przez nie przecisnąć.

Nareszcie Aza pierwsza wskoczyła na łączkę otaczającą zwałiska z tej strony, podbiegła co tchu do rozwalonej budy, i plasnęła w ręce z wrzaskiem przeraźli-

wym, ujrzawszy wiszący trup Tumrego, na którego twarzy żółta, woskowa rozsiadła się już bladeść.

W mgnieniu oka, gdy reszta ludzi zebrana w kupę stała jeszcze nieśmiejąc się przybliżyć ku samobójcy, cyganka skoczyła na belkę i poczęła już targać węzeł utrzymujący szyję wisielca; a niemając noża by go rozciąć, pochwyciła zębami i rozgryzła jak nitkę.

Trup okręcił się, zadrgał, pochylił i padł z łoskotem zimnej bryły na ziemię. Aza już była przy nim i usta przyłożywszy do twarzy, a rękę do serca, ciepła w nich i życia napróżno śledziła. Już ich tam nie było! Twarde, zimne, skostniałe ciało, wyzionęło już ostatnią żywota iskierkę...

Cyganka czołem padła na ziemię i tak nieprzytomna pozostała przy trupie.

Ludzie poszeptali, obeszli go dokoła, pokiwali głowami, namachali rękami, i zwrócili się dać co najprędzej znać do dworu, zostawując cygankę samą jedną nad ciałem kochanka.

Na rozstaju za wioską wykopano dół głęboki, i ciachym wieczorem parą wołów czarnych, przywieziono trupa Tumrego, któremu Janek zbił z kilku tarcie białą sosnową trumnę, bez księdza, bez ludu, bez płaczu, na wiekuiste mieszkanie.

Za wozem ledwie była garstka tylko: szła Motruna z dzieckiem u piersi, z zaschłym już od płaczu okiem, odprowadzając do mogiły nieszczęśliwą dolę swoją.

Za nią włókł się Janek, milczący, zgarbiony, zadumany, z rydlem na plecach, ze słomianym swym kape-

luszem w rękę. Dwie stare cyganki mrucząc coś pod nosem, otulone szerokimi płachtami, sunęły się także zdaleka za tym pogrzebem samobójcy! Nie było ani stypy, ani kuti, ani przyjęcia, ani żadnego z tych uroczystych obrzędów pośmiertnych, które ze słowiańskich jeszcze czasów pozostały u wiernego starym zwyczajom ludu wiejskiego.

A gdy woły zastauowały się na pagórku u wysypanej ziemi, dwóch ludzi zuiosło trumnę z wozu i rzucili ją w dół nie mówiąc słowa.

Janek pierwszy schwycił za rydel i zasypywać zaczął, a dwie cyganki stanęły na brzegu przypatrując się z odrętwiąłą, głupowatą ciekawością narzucaniu ziemi, i powoli zuiakającej trumnie. Motruna bez jęku siadła na trawie, i podparta na dłoni, tuląc dziecko, które kwiliło z głodu, czy macierzyńską czując boleść, patrzała, patrzała na pracujących u grobowiska.

Już Janek z ludźmi dosypywał dół do wierzchu, i poczał go ubijać nogami; już na nim i wzgórek zaokrągląć zaczęli, i darninę na pokrycie wycinać z bliskiego rowu, i cała robota powoli się skończyła. Odchodzący pierwszych kilka gałęzi suchych zwlekli wedle odwiecznego zwyczaju na mogilę, jakby stos przysposabiając, do którego każdy przechodzień dorzucać był winien choć suchy złomek jaki; już wreszcie rozchodzili się, a Motruna nie myślała wstać, ani się ruszyła z miejsca.

Cyganki, z nieboszczyka na nią zwróciły swoją ciekawość, i stanąwszy zdaleka, mruczały spoglądając na biedną kobietę; ale im się przebrała cierpliwość, i gdy ludzie ku wsi zawrócili woły i pociągneli nazad, one także poszły za nimi. Jeden tylko głupi Janek pozostał przy Motrunie, pilnie się jeszcze zajmując niby

skończeniem mogiły, którą to udeptywał starannie, to stos na niej porządkował, urządzał, żeby go wiatr nie rozrzucił.

Oczy Motruny błędzące machinalnie po okolicy, zatrzymywały się to na nim, to na grobie męża, to na głowie dziecięcia; ale znać było, że nic nie widziały. Kiedy niekiedy tylko popłynęła z nich łza jedna i zaschła na policzku, drgnęły wargi, przymknęły się oczy, ścisnęły ręce wkoło dzieciny. Janek spojrzał z pod brwi nieruchomej na Motrunę i wciąż pracował.

Poczęło zmierzchać powoli, niebo się zasępiło, a Motruna nie wstawała.

— A co? — odezwał się długo wytrzymawszy Janek — chodźmyno do chaty?

Motruna głową tylko potrząsała.

— Juściż tu nocować nie będziesz — dodał. — Jeszcze tobie jak tobie, ale dziecku na wietrze i slocie nie zdrowo.

Matka skwapliwie przytulila do siebie niemowlę i spojrzała na głupiego Janka, który nie był wcale tak głupi, jak się zdawał.

— O! pewnie — kończył Janek — że dziecku to zaszkodzi; a zresztą co tu robić? Jużesiny mu usypali mogiłę, niechaj odpoczywa! Wstań i chodź Motruno.

Zarzucił rydel na plecy, włożył kapelusz na głowę i przystąpił do niej. Kobieta zakryła oczy, z których na nowo potok łez wytrysnął.

— Płakać — rzekł Janek — można i w chacie, a już coś noc blisko; dziecku zimno, trzeba iść, trzeba iść — powtórzył z przyciskiem.

— Dokąd? po co? — zawołała Motruna. — O dolo ty moja! o dolo! co ja pocznę!...

Janek nie zważając na łyzy i żale, ujął ją za rękę i dzwignął z ziemi, a zwróconą ku mogile lekko nakłoniwszy w stronę wioski, pociągnął za sobą.

Motruna obejrzała się raz jeszcze, chciała gałąź tarniny leżącą pod nogami rzucić na mogilę, ale zachwiała się i upadła. Janek podźwignął ją znowu.

— Pamiętaj na dziecko — począł cicho — ono teraz na twoich rękach i na twojej głowie! Chodźmy do chaty, dość płakać!

Już się tak byli oddalili wlokąc z trudem i powoli, gdy Janek obejrzawszy się zobaczył jak cień przesuwającą się cygankę, która pędem wpadła na świeżą mogilę i siadła na niej a raczej rzuciła się na nią.

Niechcąc by ją widziała Motruna, przyspieszył kroku, i zagadując jęki które aż do nich dochodziły, coprędzej spuścił się z nią w głąb jaru, który wreszcie zakrył im mogilę samobójcy.

Aza sama jedna pozostała na rozstaju z wyschłym okiem, przybita, nieprzytomna, dysząc namiętnością i rozpaczą pierwszą w życiu. Porywała się, biegła do koła wzgóрка, siadała na nim, wstawiała znowu, ryczała jak zwierzę dziki; i wśród krzyku jej dobywały się z piersi to jęki niezrozumiałe, choć z tysiąca słów złożone, to okruczości jakiejś pieśni, to pytania, to wyrzuty i przekleństwa...

Rzadko kiedy człowiek dochodzi do takiego stopnia rozpacz i szalu, jaki owładnął dziewczynę, nieprzywykłą ani tłumić uczucia, ani z niem walczyć dla oka. Zdawało się, że całkiem zapomniała o sobie, o jutrze, o świecie, a bolem swym żyła tylko. Niepodobną była do siebie: taka wściekłość malowała się na rozprzężonych rysach jej twarzy zbladłej, wywróconej, zmienionej

potężną dlonią męczarni... Oczy zdawały się wybiegać z pod powiek, usta miała otwarte, zęby ściśnione konwulsyjnie, czoło zwisłe na żrenice, brwi ściągnięte, a ręce trzymała wzniesione i splecione po nad głową...

Zdyszana pierś miotła się jak fala, a chwilami brakło jej jeszcze oddechu...

Nie wiem jak długo walczyłaby tak z cierpieniem, i odrętwiałość czy zupełne szaleństwo skończyłoby jej męki, gdyby z ciemności nie ukazał się po chwili wychodzący Aprasz.

Staął on naprzeciw niej, znowu silny, rozkazujący, taki, jakim był, nim mu dziewczyna odebrała dowództwo i władzę. Popatrzał na nią i niepostrzeżony przybliżył się.

— Aza! — krzyknął nagle głosem, który ją jak piorun uderzył — do obozu!

Ona podniosła nań oczy strwożone i obłąkane.

— Do obozu *Egaszi!* do *kakabii* (kotła) ogień palić, jeść, gotować i posługiwać, a nie po nocach się włóczyć!

Dziewczyna osłupiała, a cygan chwyciwszy ją za ramie, gwałtownie pociągnął za sobą. Nie było z jej strony ani oporu, ani lzy, ani słowa, ani jęku: spuściła głowę i poszła posłuszna. Na mogile wiatr z suchemi gałęzmi i ptacy wędrowni poczęli długą rozmowę, która trwać miała wieki...

Tegoż wieczora obóz cyganów opuścił nagle Stawisko, i skrzypiący wóz ich pociągnął dalej, unosząc skrzepowaną Azę, około której siedziała stara Jaga, bo Aprasz ją wyznaczył na stróża dziewczynie.

Dawny dowódca objął zurow żelazną ręką rządy gromady, a *Romy* i *Puza* na czele, słuchali go jak niewolnicy do pańskiego przywykli głosu...

My zajrzymy jeszcze na chwilkę do dworu pana Adama, nim go stracimy z oczu na długo.

Po odejściu Azy, po odkryciu tajemnicy przywiązania jej do Tumrego, pan Adam naprzód się silnie rozgniewał, czując się upokorzonym tem nieszczęśliwem współzawodnictwem z cyganem; potem chciał gonić za cyganką, nareszcie bezsilny gniewu się wyrzekł, i niewiedząc sposobu dogodzenia namietności bez wielkich ofiar, opuścił ręce, usiłując zagłuszyć serce, czy żądzę odzywającą się jeszcze.

Ale nie tak łatwo z sercem swem wojować temu, który go się z młodu nie nauczył zwyciężać i kierować niem. Pan Adam poczuł wkrótce, że cygankę mocniej ukochał, więcej się do niej przywiązał niżeli sobie wyobrażał zrazu.

Cheiał za nią gonić, szukać jej, porwać ją siłą, nieważając ani na jej przywiązanie do Tumrego, ani na obojętność i szyderstwa. Nim to postanowienie przyjąć mogło do skutku, banda cyganów daleko już była od Stawiska i znikła bez śladu, pozabierawszy tylko swoje i cudze konie, narobiwszy szkód bez liku, a po sobie zostawiwszy mogiłę w polu, łzy i przekleństwa.

W takich jak Adam ludziach, strapienie gwałtownem jest tylko w pierwszej chwili; ale nie trwa długo i przechodzi bez śladu. Dni kilka dość było żeby boleść zmieniła się w tęsknotę, w znudzenie i potrzebę szukania rozrywki; a jej pragnienie już było najlepszą przepowiednią całkowitego zapomnienia przeszłości. Ziewnął, stęknął, kazał zaprzęgać pan Adam i do miasta pojechał.

W chacie po Tumrym, zbudowanej z taką pracą i

wytrwaniem żelaznem, nie mogła się rychło zatrzeć pamięć jego; bo ręka robotnika wszędzie zostawiła po sobie ślady, i każdy kawał drzewa ją przypominał. Biedna Motruna musiała zamieszkać w lepiance, i patrząc na nią, dolę swoją oplakiwać.

Po śmierci cygana przybliżyli się do niej bracia, ale i ci nie wiele pomódz, mało los jej zmienić mogli. Potrzeba znać życie i zasoby najdostateczniejszego wieśniaka, by uwierzyć, jak niełatwo mu przy najlepszych chęciach wziąć na barki kobietę i dziecię. Dwaj bracia Motruny radzi byli coś dla niej uczynić, ale żony ich na samą wzmiankę o tem, że cyganka mogłaby przenieść się do ich chaty, zakrzyczały, poczęły rzucać się i gniewać, tak, że i pomyśleć o tem bez zakłócenia domowego spokoju nie było można. Trzeba więc było Motrunie zostać na miejscu, w lepiance jej pod cmentarzem; a i tam nawet Maksym i Filip niewiele jej dostarczyć mogli, bo natychmiast żony ich obawiające się o siebie i dzieci, o głód na przednowku, głośnie poczynaly wojnę za każdy datek. Przy najlepszych chęciach, rzadko też wieśniak jest w stanie przelamać się czarnym chleba kawałkiem. Najbogatszy ma ledwie tyle, że się głodu nie boi do nowego ziarna, a sprzedają pozostałej odrobiny, opędza pierwsze życia potrzeby. Jakże wielkiego potrzeba uczucia, jak świętych obowiązków, by wystawił na szwank los swój i rodziny? Bracia Motruny dopomagali jej, ale tając się przed żonami, potrosze tylko i szczupło.

Pan Bóg zesłał jej opiekuna i niespodziewanego pomocnika w głupim Janku. Los tego odrzutka tak był ciężki w własnej chacie, tak nim tam poniewierano, często nawet wypędzając zupełnie, choć robił więcej niż

za jednego człowieka i za jedno zwierzę domowe; tak mało mu tam dał kto dobre słowo, że głupi Janek, który śmieiej i niepotrzebując udawać głupoty, przystępował do Motruny, do cygana: do nich się też więcej niż do swoich przywiązał.

Los szczególnie kobiety zdawał się go silnie zajmować, bo Tumrego był zuienawidził w końcu i prawie do samobójstwa popchnął przez żal, jaki do niego miał za Motrunę. Po śmierci też jego, Janek na chwilę wdowy nie opnił: zajmował się sam pogrzebem, odprowadził ją do chaty, i pozostał przy niej na straży w ten sposób ją i dziecię za rodzinę sobie przysposobił. Tegoż wieczora zaraz nastął słomiany barłóg w sionkach pod drabiną u drzwi izby, i tam się umieścił. Nazajutrz poszedł do swoich dla zabrania garści łachmanów, zowiących się jego własnością i nierzekłszy słowa, porzucił chatę ojcowską nazawsze.

Motruna miała z niego więcej niż parobka i posługacza: bo brata i opiekuna czuwającego nieustannie nad nią i sierotą. Przywiązanie i litość zrobiły z Janka istotę pełną przebiegłości, zapobiegliwą, baczna i bystrą nawet w potrzebie. Dla Motruny umiał zaraz znaleźć zarobek, znosząc jej przedzę na motki, i różne drobne nastroczając zajęcia, za które sam się wprzód targował, i chatę zasposabiał w żywność i sprzęt potrzebny. Drwa sam zbierał i nosił, wodę czerpał, rąbał, palił, gotował, świecił, dziecko całemi godzinami kołysał; a w strawie bojąc się zrobić uszczerbku, żywił się suchym chlebem i pozostałymi w garnkach resztkami jadła, którychby pieszczone psy nie chciało.

Nierychło opatrzone się w jego chacie, że głupiego Janka niestało; ale kiedy kilka dni nie powrócił, jakoś

go zabrakło wszystkim. Bracia postrzegli, że nie mieli się kim wyręczać; siostry nie miały kogo posyłać, lajać i nękać, a bratowe nie znalazły z kogoby się tak bezkarnie naśmiewały. Choć wszyscy narzekali, że darmo chleb zjadał, gdy go niestalo, stękać poczęli, że się nie obejdą bez niego i nuż zbiega przeklinać.

Szpiegowano, dopytywano się, śledzono gdzie się mógł podzieć; ktoś odkrył nakoniec, że posługuje u Motruny. Posłano zaraz starszego brata, odebrać głupiego Janka, a ten obcesowo wpadłszy, lajać go począł, znalazłszy w kuczki siedzącego w sionce pod drabiną i kręcącego kawalek powrozu.

— A co ty tu robisz? próżniaku, darmozjadzie! A do chaty, do roboty — krzyknął pau brat.

Janek podniósł głowę, zmrużył tylko jedno oko, popatrzył na przybysza, splunął i dalej swoje robił.

— Co to ty sobie myślisz?

— Ot co myślę, — odparł Janek spokojnie — myślę tu zostać i zostać!

— Alboto my pozwolim włóczyć ci się gdzie zechcesz?

— A na cóż ja wam potrzebny? — odparł ruszając ramionami—hę? Malościęto mnie nawymawiali, że chleb jem daremnie? A daliście mi kiedy szmat odzieży, dali nową koszulę i choćby laptę na zużone uogi? Kiedym ja wam niepotrzebny, po cóż siedzieć miałem! Idźcie sobie braciszkn z panem Bogiem i klaniajcie się ode mnie staremu Łysce...

Brat porwał się bić, ale Janek schwycił go za barki, wyrzucił z sieni i drzwi podparł kolkiem; a napastnik na ryczawszy i naodgrażawszy się z podwórza, poszedł z niczem do domu. Pozywano Janka do dworu na spra-

wę, ale tu głupi parobczak jak zaczął się bronić, przy swoim się utrzymał: pozwolono mu zostać z wdową, a braci odprawiono z kwitkiem. Dowiódł bowiem, że ani przysiewku w polu nie miał nigdy, ani odzieży nie brał, ani płacy, ani mu żadnej części z ojcowizny wydzielić nie chciano; nie miał więc żadnego obowiązku pracować tam za wszystkich, gdzie nikt mu nic za to, nawet łyżki pocziwej strawy, nie dawał.

Bracia srożyli się, krzyczeli, poznawszy że im bez niego jak bez pomiotła, nie będzie lekko wszystkim śmieci zagrzebywać, próbowali odciągnąć go obietnicami, ale nic nie pomogło.

— Dopierobyto był głupi Janek — mówił parobczak — żeby się dał drugi raz złapać jak wróbel na plewę. Ho! ho! niedoczekanie wasze: raz się wyprzągłszy z tego jarzma, drugi raz w nie karku nie nagnę, bom spróbował jak mula! Bywajcie zdrowi i klaniajcie się staremu Łysce...

Łysko, stary pies podwórzowy, było jedyny Janka w chacie przyjaciel.

Motrunie, ani Jankowi na myśl nawet nie przyszło, żeby na nich dwoje gadać coś miano; ale złe we wsi języki nie darowały i krzywemu Jankowi, ani bladej i schorzałej Motrunie: śpiewano o nich w karczmie, śmiano się u studni, na przelazkach, choć oni ani się tego domyślali.

Janek był tak poczwarny i brzydki, że posądzenie o miłość jakąś dla niego, w głowie tylko starych bab i żon braterskich urodzić się mogło; a jednak gdy raz puszczono płotkę, przyjęła się i swatano ich zawczasu, a Janek tylko jak wyrobnik dla wdowy pracował.

Oboje często po całych dniach słowa do siebie nie

rzekli, a Janek czasem tylko, gdy w lepszy wpadł humor, zmyślał powiastki dla rozweselenia Motruny. Ona słuchała i milczała, bo milczenie stało się dla niej nałogiem i drugą naturą, tak, że na słowo trudno się jej zebrać było. Zaśpiewała dla dziecięcia niekiedy, westchnęła ze znużenia, ale z serca zasklepionego ani się skarga, ani wspomnienie wyrwać nie mogło.

Macierzyństwo wystarczało jej do nędznego życia, w niem były wszystkie pociechy, nadzieje i cel przyszłości, a uśmiech dzieciny wywoływał i na jej usta coś nakształt smutnego, łzawego i bladego nśmniechu. Patrzała w kołyskę, siedziała przy niej, spała nad nią, i na chwilę jej nawet nie odstępowała. Czasem, gdy upadła znużona, Janek się podkradł i niezgrabnie zakłótył dziecinę; ale zaledwie zaplakało, już Motruna zrywała się przerażona tym głosem, i znowu sama piastowała ukochaną donię.

Takie tam było życie w tej mizernej lepiance, dnie, nocy, i jednostajnie płynące miesiące i lata. W około ruch był na wsi: ustępowali jedni, nastawali drudzy, kochali się, rzucali, umierali, rodzili. Tu tylko strzecha słomiana porastała mchami, Motruna bladła i chyliła od pracy, Janek żółkł i garbiał codzień bardziej, dziecina chodzić poczyniała; ale ani los odmienny, ani dola lepsza nie zaświtała w lepiance cyganichy.

Wioska nie odstępowała jej wszakże, ale nie bardzo też chętnie garnęła się do niej; nie tak z powodu zabobonnego jakiegoś przesądu, jak raczej lękając się jej ubóstwa. O! dla wielu, dla bardzo wielu na świecie, nie ma strasniejszego nad nędzę: dotknąć jej ręką, spojrzeć się na nią lękają, żeby ku nim nie zajęczała prośbą, nie zwróciła się z żądaniem pomocy!

Nawet o robotę nie było łatwo Motrunie, bo mało kto ośmielił się ją powierzyć ubogiej, lękając się bliższego z nią stosunku. Przecież staraniem Janka nie brakło ani chleba, ani pracy, ani zarobku, ani zbywało na pierwszych życia potrzebach. Przez lato, gdy dziecina podrosła, Motruna mogąc ją mieć z sobą w koszyku, najmowała się do żniwa; Janek zarabiał także, i lepiej od drugich, bo czasem aż po dwie kopy oziminy stawiał kiedy się rozmachał. W zimie żyli groszem uzbieranym i kądziolką wdowy.

W tej wszakże niestannej pracy, Janek począł w lat kilka widocznie tracić siły, choć te zdawały się niewyczerpane; a że był przesądny i nie pojmował, zkąd taka zmiana przyjść mogła, przypisywał ją rzuconemu przez którąś bratową urokowi. Począł więc chodzić od znachorki do znachora, dla zdjęcia uroku wypijał różne czarodziejskie leki, ratował się zamawianiem i różnemi ingrediencjami wielce podejrzanych własności, tak, że w końcu, skutkiem tych leków, zapadł gorzej jeszcze i obległ nareszcie śmiertelnie.

Jeszcze go jakaś przy życiu trzymała siła woli i ducha potężna; włóczył się o kiju z sieni do izby, z izby na poddasze, pomagając Motrunie; aż gdy jednego wieczora uczuł się bardzo gorzej, pomyślawszy, że śmiercią swoją biednej wdowie narobi kłopotu, wziął kostur, i nie pożegnawszy się nawet, a przez szparę we drzwiach spojrzawszy na dziecinę, która już po izbie biegła szczebiocąc, powłókł się do chaty braci. Całych sił swych dobyć musiał ażeby do nich się dostać, tak mu już w drodze słabo się zrobiło; a gdy na próg wszedł, zachwiał się i upadł pod piecem.

— Cha! cha! — rzekł — otóż mnie i macie pano-

wie braciszkwowie; chcieliście żebym do was powrócił, toć jestem na usługi! Musicie mi teraz z ojcowizny choć pogrzeb sprawić i *domowinkę!* *).

Jakoż w godzinę potem, głupi Janek już nie żył, a bracia choć się rzucali i łajali, zmuszeni byli pogrzeb mu sprawić.

Niepodobna wystawić żalu jaki ogarnął Motrunę, gdy się o śmierci Janka niespodzianie całkiem dowiedziała, gdy się jej domyśliła raczej, bo zniknięcie jego nie mogło mieć innego powodu. Dwoje tych istot tak się żyło z sobą, że wdowa myśl jego odgadła odrazu i rozplakała się, uczuwszy, że nawet w chwili bolesti przedśmiertnych pamiętał o niej jeszcze, i bał się jej najmniejszą przykrość wyrządzić. Tak już do niego była przywykła, że zdawało jej się niepodobieństwem wyżyć i wystarczyć bez Janka sobie i dziecięciu. Drugito już raz tak wdową ją los robił.

Głupiego Janka brakło wszędzie i ciągle, bo on był duszą nędznej chatki. Nie mogła Motruna wyjść na próg, żeby go sobie nie przypomniała po miejscu, które pod drabiną w sieni zimą i latem zajmował w rodzaju budki, skleconej z tyczek od fasoli i miętej słomy. W samej chacie pełno było śladów pracowitej ręki jego i przemyślnej głowy: wyuczył się bowiem bednarki, ciesielstwa, mularki, i wszystko niemal sam robił, bo płacić nie miał czem majstrom. Na kołku nad ławą naprzeciw pieca, gdzie siadać i grzać się lubił, stary jego dziurawy kapelusz słomiany wisiał jeszcze, i pyłem przysuty, pozostał jak widoma po nim ostatnia pamiątka...

Znów za tym pogrzebem przyjaciela poszła Motruna

*) Tak w niektórych wsiach wołyńskich zowią poetycznie trumnę.

i ucałowała trumnę, ostatni chleba bochenek, ostatni płótna kawalek kładąc na niej wedle zwyczaju, bo tych bracia mu poskapili... Późno w noc skostniała powróciła do pustej, straszliwie pustej chalupki, myśląc co pocnie z sobą i dzieciną, a myśl ta ręce odebrała jej na długo.

Dopiero szczebiotanie dziecięcia obudziło ją z marzeń przykrych do życia i pracy. Ta jest korzyść nędzy, że w niej praca koniecznością, a ona najłepszem cierpień lekarstwem.

Trzeba było znowu wziąć kądziel i wrzeczono na chleb dla małej Marysi; ale nie było już kim się wyreczyć na wsi, ani komu odnosić motków i wypraszać przedziwa!

W takiej niedoli i najostatniejszej nędzy, z dnia na dzień grożącej śmiercią głodną, rosła sierota Marysia.

Matka widziała już w niej, jak wszystkie matki w dzieciach swoich, maleńkie cudo a wielkie nadzieje; ale obcy nawet i niechętni, gdy szła ujawszy fartuch Motruny, maleńkiemi nóżkami ścigając ją i podskakując jak ptasze za matką, oglądali się z jakimś zajęciem na dziecko cygana.

Maryś, gdyż ją tak pospolicie nazywano, była w istocie śliczną dziewczynką, w której twarzyczce dwa złęczone typy, wschodni i północny, wydały trzeci odrębny, obojga wdzięki tylko mający. Maryś miała śliczne oczki czarne, ale nos prosty i nieco zakrzywiony, czoło wysokie, usta nieco wydatne, a pełne uśmiechu i słodczy, płeć dziwnie białą, włos złocisto-ciemny. W dzie-

cinie już znać było dziwną zręczność ruchów, zwiastującą czem być miała, gdy rozkwitnie na dziewczeczkę. Motruna zakochana w niej do szaleństwa, stroiła ją, ubierała, wdzięczyła czem mogła, nienasycony wzrok pasąc tą twarzyczką pełną wczesnego rozumu, przenikliwości i łagodnej dobroci.

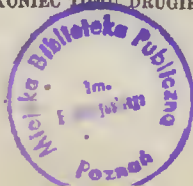
Z każdego słówka sieroty tryskał niezwyczajny dowcip, niecierpliwa ciekawość świata i chęć wybiegnięcia o swojej sile między ludzi. Małeńka już poczęła matkę wyręczać tak zręcznie we wszelkiej pracy, tak nieraz zdziwiła ją zgadując myśl jej lub poddając radę, że Motruna miała ochotę klęknąć przed cudowną dziewczynką. Kręciło się to od rana do wieczora po chatce, śpiewało, biegało, a gdy matka po swojemu spuściła głowę obciążoną smutkiem, czepiała się u jej kolana, rozcałowując jej zadumę.

Wychowana w ciągłym niedostatku, Maryś miała jakiś instynkt zaradzenia wszystkiemu, i w głowie swej dziecinniej często więcej znalazła, niż matka w całym swem zboląłem sercu.

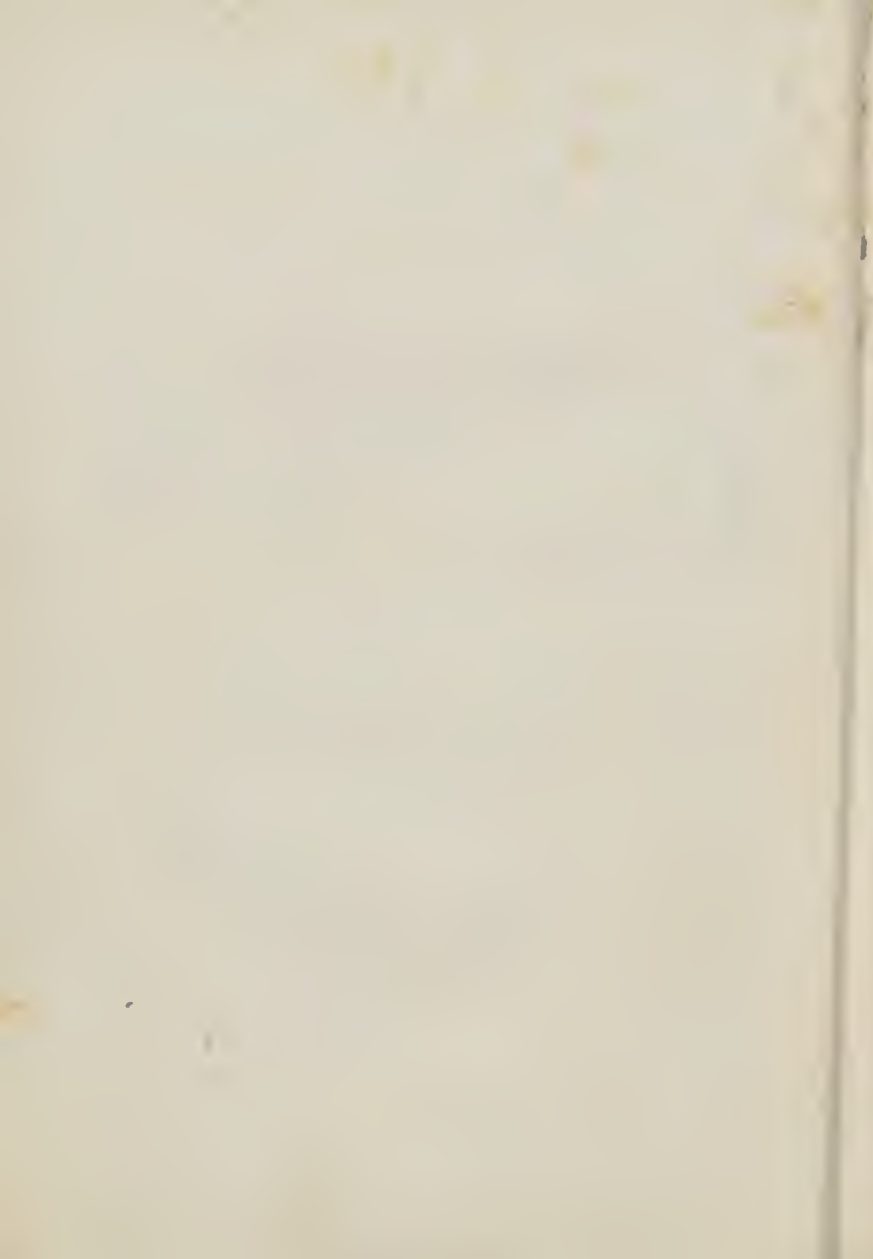
A tak to się umiało przymilić, uśmiechnąć, podobać, ułagodzić, że nieraz najobojętniejszy zatył się gdy przemówiła; a stare nawet baby wracając z targu, rzucały cygańskiemu dziecku po jabłku lub obwarzanku.

Taką dorosła Maryś lat dwunastu, na bohaterkę ostatnią naszej chatki za wsią; a chcąc wiedzieć co się stało z sierotą, to poczekajcie trochę do następnego opowiadania.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.







1000-

Biblioteka Raczyńskich

JK 1425



JK1425